

1801

WILKOŃSKI

P I S M A



PISMA
AUGUSTA WILKOŃSKIEGO

Tom V.

WYDAWCA:

ADAM KACZURBA W KRAKOWIE.



KRAKÓW.

NAKŁADEM WYDAWNICTWA „BIBLIOTEKI ARCYDZIEŁ”.

1888.

W Krakowie. — Czcionkami drukarni J. Fischera. — 1888.

LIST

DO REDAKTORA BIBLIOTEKI WARSZAWSKIEJ

Z ZAŁĄCZENIEM ARTYKUŁU P. T.

WŚCIEKLIZNA LITERACKA.

Mości Redaktorze Biblioteki Warszawskiej!

W obrębie nauk, w oddziale prac umysłowych oddawna już *communio rerum bonarum* istniało, w nowszych zaś czasach za zasadę przyjętą jest.

Filozofia moralna, uwagi nad chorobami moralnymi XIX stulecia, w Tygodniku Petersburgskim umieszczone, kogoż z literatów, kogoż z mężów, ludzkością tchnących, nie uradują, w kimże wdzięczności nie stworzą? Ażaliż to bowiem nie jest pokarm na spólny duchowy pożytek?... Baczac, że Warszawa, mająca niemal wszelkie dobroczynne i wiele naukowych zakładów, mająca i gwiazdo-patrnię, pośród miast europejskich podrzędnego miejsca nie zajmuje; baczac, mówię, na to, powziąłem myśl, ażaliby i stałego spostrzegacza chorób moralnych XIX stulecia mieć nie winna.

W. pan dobrodziej znasz mnie, że jestem do popędu skłonny, że pomysły moje lotem błyskawicy w rzeczywistość przechodzą. Otóż ledwie żem oczyma Gorączkę paskwiliczną przebieżał, ledwo że mózg treść główną odgadnął, już pióro spostrzeżenia i uwagi nad wścieklizną literacką

kreśliło, a serce leków poszukać i wynaleźć ka-
zało.

Do w. pana dobrodzieja z prośbą się udaję, ażebyś raczył w Bibliotece warszawskiej chociażby w Rozmaitościach, dla spostrzeżeń moich skromnego dozwolić miejsca. Niechaj się w. pan dobrodziej pierwszym artykułem nie przestrasza; jest wprawdzie okropny sam wyraz «wścieklizna» i odrazą napełnia, wszakże zagłębiając się nadal w tej pięknej gałęzi-sztuki lekarskiej, wynajdę chorobę, może mniej gwałtowną; i tak: na październik; da Bóg doczekać, pragnę wykończyć spostrzeżenia nad mdłościami literackimi; na listopad poczynię uwagi nad chorobą «Kołowacizna» czyli «*Kołowrot*» zwaną; — na grudzień wygotuję receptę na Przeziębienie mózgu; — i nadto celem pożegnawczej czci dla starego roku obszerną napiszę rozprawę o hemoroidach w poezyi; — jest to słabość niestety! bardzo dzisiaj pomiędzy młodymi ludźmi zagęszczona, do uleczenia trudna.

Zakres Biblioteki warszawskiej umiejętności lekarskich w sobie nie mieści; aleć ja, pisząc o chorobach moralno-literackich, na zarzut wnoszenia prospektem nie ogłoszonych przedmiotów nie zasługuję, bo filozofią moralną obrabiam.

W nadziei że... że, — to jest, jak się w. pan dobrodziej domyślić raczysz, — pragnę przy powtórzeniu prośby o łaskawe przyjmowanie moich spostrzeżeń, list przyzwoicie i z grzecznością za-

kończyć — a zatem z poważaniem nader i wielce życzliwy i t. d.

Au. Wi.

Pisałem w Warszawie dnia 18 sierpnia 1841 r.

P. S. Zobowiązanie się moje przesłania w. panu dobrodziejowi dalszych artykułów o tyle tylko za pewne oznaczam, o ile uledz mi nie przyjdzie pod prośbami literatów, cichaczem leczyc się chcących.

WŚCIEKLIZNA LITERACKA.

*Spostrzeżenia warszawskie nad chorobami moralnemi
XIX stulecia.*

W naszym wieku, wieku ciągłych popędów i pomysłów a, Bogu dzięki, i rzeczywistych postępów, objawiają się częste poszlaki rozmaitych i różnorodnych słabości umysłowych a nie rzadko chorób moralnych; wyborny opis niektórych czytaliśmy w Tygodniku petersburgskim.

Wysoce ceniąc usiłowania ludzkością tchnących mężów, a zarazem zważając, że z jednego miejsca wszystkich spostrzeżeń uczynić nie można, przedsięwzięliśmy i z widnokregu warszawskiego rze-

czone choroby literackie badać, nowe odkrycia gromadzić i takowe na duchowy całego świata pożytek ogłaszać, przez co pierwotnemu przedsięwzięciu nie tylko przyjdziemy w pomoc, ale i możebną jednostronność w poczynionych już uwagach albo usuniemy lub też przynajmniej sprostujemy. Iżby zaś godnie zacząć, wprowadzamy rzecz jeszcze nie tkniętą, chorobę ciężką, zjadliwą, dobru ogólnemu zagrażającą, to jest: mówić będziemy o wścieklicznie literackiej.

Wściekliczna literacka (*frenesia subtilis*, vel *metaphysica*), podobną jest do wściekliczny zwykłej (*hydrophobia*), ale w swój istocie wcale od niej oddzielna i do zupełnie innego rodzaju należy.

Główną przyczyną tej choroby jest: pierwotnie nadzwyczajna narośl miłości własnej, płynu zebranego w ogromnym zasobie. Badacze przyrodzenia przekonali się z licznych doświadczeń, że są istoty, osobliwie literackiego powołania, które w ciągu życia gromadzą w sobie tego płynu tyle, iż on $52^{993}/_{999}$ razy więcej waży, jak całe ciało ze wszystkimi dodatkami. Przypuściwszy więc, że literat, choćby też najchudszy, waży funtów 28 i łutów 4, narośl w nim taka ważyłaby centnarów 14, funtów 90, łutów $19^{11}/_{111}$, to jest tyle, co $5^{1}/_{3}$ najotyłszych ludzi. Zjawisko nadzwyczajne! — Naruszenie takowej narośli stanowi wścieklicznę literacką.

Do zebrania wielkiej ilości rzeczzonego płynu przysposabia natura a częściej wychowanie. Znaj-

dowano ludzi, opatrzonych z natury łokciowym worem przy sercu na przyjęcie wszelkiego rodzaju pochlebstw i madrygałów, lub mających gęstą siatkę przy mózgu na przytrzymanie ulubionych myśli o sobie, które tam powstały w kształcie wieńca, kolumn, strzałek i aniołków. Troskliwe rozwinięcie i wzmocnienie sił umysłowych więcéj od natury działa. Ztąd choroba ta niebezpieczna napada zwykle moralnie zaniedbane dzieci, pieszczochów, którzy utyli na karmelkach i pod wyłącznym dozorem ukochanej babki wzrosli, a często bardzo wielbicieli muz, to jest pomniejszych artystów dramatycznych, kompozytorów, malarzy, wierszopisów i wszelkiego rodzaju literatów. Choć to złe przywiązuje się zwykle do miernych zdolności, zjawia się jednak, ale nadzwyczaj rzadko, w talentach wyższych.

Miłośników sztuk pięknych prawie zawsze usposabia do takiej choroby grono przyjaciół, krewnych, powinowatych, *kollegacyi*; wieczorynki, biesiadki; bliżéj znajomi poczciewcy, kiedy są ludźmi ograniczonymi, czyli z ciasnym pojęciem;—wśród nich ulubieniec robi pierwszy krok w obanym zawodzie i występuje z próbkami zdolności swoich. Na pierwsze zjawienie się, stosownie do przygotowania, a często do ułożonego poprzednio programu, powstaje okrzyk podziwienia i radości. Ten okrzyk działa tak silnie na słabe nerwy ulubieńca, że zaraz w nich zaród choroby zostawia; odtąd pisarz lub artysta to pierwsze powodzenie

uważa za swój świat, za świat ogółu, szpontuje się w niém szczelnie i w tym to stanie przylega mu do mózgu myśl, że on jest bez błędu, że jest doskonały, że jest nieomylny; — myśl ta medycznie nazywa się: idea fixa. Wówczas to właśnie zarodzi się nieszczęśliwa narośl, która się powiększa w postępie geometrycznym z jego publiczném życiem; od téj chwili rozwija się zgubna choroba z poznakami następującemi:

1) Ciągła litość dla wszystkich, co się ośmielają do niego zbliżyć i parę słów z objawieniem zdania swojego przemówić. Chory uważa, że innego nie potrzeba zdania, kiedy on już swoje światu ogłosił.

2) Wzdychanie do powagi, albowiem, chociażby był najmłodszym, przekonany jest zupełnie o swéj dojrzałości, a nawet o starym i wytrawnym rozumie. W téj przybranéj powadze tak wygląda, jak sześcioletni synek grenadyera w bermycy ojca lub malec postyliona w jego olbrzymich butach.

3) Wstręt do wszelkiej przyzwoitości, gdyż wszędzie rozumie, że jest u siebie, i że niepotrzebuje na swoje czyny żadnego dawać baczenia.

4) Ciągłe naiwna niewinność, szczególniej w mowie o własnych zaletach.

5) Uśmiech wewnętrznej rozkoszy, gdyż dla sprawienia sobie przyjemnych wrażeń puszcza po mózgu, jakoby chrapaszczce po nosie, same pewniki; na przykład zdaje mu się, że opinia publiczna, opinia jego wielbicieli jest nabytą na wie-

czne czasy własnością nie ruchomą i nie zależy od jego zdań ani od jego czynów; uważa, że bez ustanku donośnym i pewnym głosem należy śpiewać hymn na cześć własną i wciągać gwałtem opinią publiczną do tego chóru, a ująwszy ją raz w swe dłonie, trzymać potężnie, bo ona nie ma własnej siły i jest jak chorągiewka, która się tak obraca, jak wiatr zawieje; nie przypuszcza, ażeby mu ktokolwiek chciał prawdę powiedzieć dla prawdy. — Smaczne prawdy przyjmuje a niesmaczne uważa za utwór zazdrości, zawiści i podłości nieprzyjaciół, którzy wiecznie wielkie talenta przesładują. Zdaje mu się, że zdobyta przychyłność opinii publicznej jest jak szata jedyna na ziemi, wtenczas, kiedy wszyscy inni nago chodzić muszą. Dlatego nie dziwi się wcale, że kto się w szatę przyodziać pragnie, musi ją gwałtem, jak rozbójnik, ustrojonemu wydrzeć właścicielowi, gdyż innego nie ma sposobu.

W takim stanie choroby i przy tych pozna-
kach narodził dojrzewa, nabiera największych dra-
żliwości i to właśnie chwila zupełnego usposobienia
do wściekłej literackiej. Za najmniejszém poru-
szeniem narodziła niebezpieczna choroba wybucha
paroksyzmami, a jeżeli się kto odważy lancetem
lub igłą chociażby najdelikatniejszą narodził przekłuc
i dotknąć najczulszego punktu, gdzie się *idea fixa*
usadowiła, wówczas, osobiście literat, staje się naj-
gwałtowniejszym (*furiosissimus*), w paroksyzmie
robi *salto mortale* na kilka sążni od ziemi, a po-

tém zieje namiętnością i metafizycznemi myślami, jakoby ogniem, zapomina o sobie, a dla drugich staje się srogim Atyllą, biczem Bożym. — Biada temu, kto mu jakąkolwiek częścią w ręce wpadnie! Paroksyzmy takie rozmaite sprawiają skutki stosownie do sił chorego. Jeżeli cierpiący jest osobą bardzo słabych zdolności umysłowych, narodził wcale się nie zmniejsza, przybiera przeciwnie twardą, jakoby żółwią powłokę czyli tarcz, traci następnie czułość i niezdołbyta idea zostaje do śmierci; — jeżeli zaś chory obdarzony jest wyższemi zdolnościami, a jego władze umysłowe są silne, po pierwszym paroksyzmie płyn miłości własnej z narodził szybko odpływa, a pacjent do zdrowia powraca i do takiego nawet przychodzi zdrowia, jakim się nigdy poprzednio nie cieszył. — Odtąd wesoło i jasno w świat spogląda; widzi, że *opinia ogółu w jakichbydz przemianach jest zawsze zdrowym i najsilniejszym sądem*, na który się zupełnie spuścić należy; że sypać pochwały jest najwygodniejszą rzeczą i nic nie kosztuje, a być przeciwnego innym zdania przychodzi trudniej i zawsze potrzebuje przynajmniej pewnego namysłu, że nigdy w zdaniu nie chodzi o to, kto je odsłonił, lecz o to, co powiedział, zwłaszcza w czasach dzisiejszego uobyczajenia, kiedy każdy z nas, swoje zdanie drukujący, powtórzyć je gotów ustnie a może nawet z małemi dodatkami. — Takie się ocalonemu nastroją uwagi i te go zwolna przyprowadzają do wniosku, że czasem może mieć błędy,

i że je drudzy nietylko wytknąć, lecz nawet rozeźmiać się z nich mogą; a czy to sprawiedliwie czy niesprawiedliwie, to jednak nigdy wartości jego nie zmniejszy, témbardziej, kiedy jój nie chce za wyższą jak jest, sprzedawać; — wówczas pozna różnicę pomiędzy zdaniem, drukowaném bezimienne a pismami prywatnemi, jakie mu kto bezimienne przysyła; nie będzie ich odtąd nigdy razem mieszał, choćby mu taki sposób obrony miłość własna najnamiętniej doradzała.

Te i tym podobne myśli wejdą w miejsce pewników i odtąd postępować będzie razem z ogółem; poświęci mu swoje prace, uczuje czém już jest, a najbardziej, czém być może i czém być powinien.

Prócz przekłucia narośli świadomi sztuki lekarskiej kilka jeszcze lekarstw na wściekłą literacką doradzają, wszystkie jednak są tylko *preservatywami* i używane być winny przed paroksyzmem. Niektóre okazały już wielki skutek. I tak przejażdżka, którą-by pacjent mógł odbyć ze swojego świata na świeże, na inne powietrze, często działa najzbawienniej.

Krwi człowiekowi takiemu puszczać nie można, gdyż jój ma bardzo mało, a bardzo wiele potrzebuje. Wyborny sposób na wyleczenie jest rozpocząć z pacjentem grę w talizmana niewidzialności i, czy będzie krzyczał, czy się będzie nadstawiał, czy będzie spokojny, czy będzie w gniewie, udawać ciągle, że jest niewidzialnym i postępować tak,

jak gdyby go nie było, jak gdyby go nikt nie widział i nie słyszał. Jeżeli to nie pomoże, potrzeba mocniejszego użyć środka, można mu wyjednać patent na spokojną fabrykacją złych wierszy, niezdarnej prozy i innych klejonek. Patent taki należy mu doręczyć uroczyście, a potem wraz z jego najlepszemi sąsiadami wmówić w niego (co jest łatwo), że jest Apollinem i kadzić mu, kadzić jak najobficiej dopóty, dopóki opuchlina nosa nie przekona, że kadzidło zbawienny skutek wywarło. Po tej kuracyi pacjent, chociażby najdzikszy, często nabiera niezwykłej ogłady a nawet świetnej obyczajności. W szalonych paroksyzmach wściekлизny literackiej często i pacjent i obecne osoby są w wielkim niebezpieczeństwie. Chory w zapamiętałém uniesieniu wszystkie w około przedmioty chwyta zębami, — często niezwykły przez to okazuje apetyt do mięsa, osobliwie do kawałków delikatniejszych; — część więc pewną można mu dać do nasycenia się zupełnego, a tém sposobem traci chętkę do wojowania zębami. Gdyby jednak komu miał ranę zadać a wściekły jest wierszopisem, należy natenczas co prędzej część skaleczoną jego własnymi wierszami okładać, które najlepiej goją.

Historyczne wiadomości o tej chorobie są bardzo niezgodne; utrzymują jedni, że przyszła do nas z Indyi Wschodnich od pokolenia zamieszkującego pagórki «Samoluby» zwane; tamże leczoną bywa przez Braminów, za pomocą pędzlowania wroniem piórem, maczanym w prażonym mio-

dzie. — Drudzy twierdzą, że ojczyzną wścieklizny literackiej są Chiny, gdzie na tę chorobę innych nie znają środków, jak tylko zmuszenie chorego do zażywania ciemieżycy, przez co nieszczęśliwy nieprzestannie członek powonienia przeczyszsza, a w końcu o tyle go przeczyści, że wszelkie zapachy dostatecznie rozróżnia i zdrowym się staje. Niektórzy zaś wskazują za główne siedlisko wścieklizny literackiej krainę Arabów, zapewniając, że się okładaniem zimnej wody na czastkę leczyć zwykli. Ale to bajka być musi — wszakże Arabowie są ludem prawdziwej poezyi, ogniści i męźni. To jednak pozostaje niewątpliwą prawdą, że wścieklizna literacka idzie za słońcem a nie pod słońce.

L I S T

do Redaktora Biblioteki warszawskiej, donoszący o natarczywości chorujących na młdości literackie.

Wielmożny Mości Dobrodzieju!

Jakoby duchem wieszczym uczyniłem uwagę, że w dostarczaniu spostrzeżeń nad moralnemi chorobami XIX stulecia mogę mieć od cichaczem leczyć się chcących niecofnięte przeszkody i że w takowym razie mojego zobowiązania się szczerze dotrzymać nie będę w stanie.

Czytaj, panie, i sądź; rzecz się tak ma.

Siedzę przy moim skromnym stoliku, okrywam się kłębami orzeźwiającego mnie dymku z ulubionój luleczki i z mężną cierpliwością. Pamiętniki Kwestarza raz jeszcze poprawczo przezieram, gdy mój Pawełek donośnym u drzwi ozwał się głosem: «Pan X... N...!»

— Czegóż tak wrzeszczysz, — nieco pomieszany odrzekłem — przecież nie jesteś woźnym; powiedz temu panu, że proszę.

Mężczyzna koło 50 lat mający, z czarną czupryną, starannie do góry podczesaną, wzrostu w samo prawie, ubrany kuso i opięto, z laską w rękę bardzo przyzwoitą, bo i w złotą gałkę i w dwa kutasy zaopatrzoną, na pierwsze wejście człowieka uczciwy, (mówię uczciwy, albowiem dzisiaj porządnie ubranych ludzi po największej części uczciwymi zowią); on tedy mój gość po trzech czy czterech ukłonach rzekł:

— Czy mam przyjemność mówienia z panem Au: Wi:?

— Co pan dobrodziej rozkazać raczysz?

— Jestem X... N...

— Bardzo mi miło.

— Przychodzę do pana dobrodzieja w przedmiocie literacko lekarskim, a mianowicie chciałbym pana prosić o radę, zarazem o zaochronienie mojej choroby od jawnych rozbiorów, które do Bibl. warsz. zapowiedziałeś.

— *Mdłości, kołowacizna czy przeziębienie?*

— Istotnie są to *mdłości*.

— A więc *finesia suchotna vel pura?*

— Tak jest, panie dobrodziej.

— Wm. pan pragniesz, chcesz, usiłujesz pisać porządnie ale dokonać tego nie jesteś w stanie?

— Tak, tak, — o tak!

— Zwykle napada cię, panie, ognista wola zaczynania pracy od poniedziałku, od pierwszego każdego miesiąca, od kwartału, od półrocza, i w żaden sposób nic rozpoczętego ani źle ani dobrze ukończyć nie możesz i psując do roku kilkanaście ryz papieru, papierniom a nie literaturze przysługę czynisz.

— Prawdziwie że się pan dobrodziej nie mylisz.

Szczególniej zaś przy téj chorobie dotkliwą bywa myśl, że wszyscy na jednego się spiknęli, to jest: zdaje się Wm. panu dobrodziejowi, że każdy literat radby cię w łyżce wody utopić; że wysyłają na miejsca publiczne najemców, aby ci nawet twoje początki zganili; że całe miasto od rana do wieczora tobą zajęte, przeciw tobie knuje potwarze, przedzie intrygi i mylne rozpущa wieści, iżby cię zgnieść, zniszczyć, zatratować, panie, kiedy po prawdzie wielu zapomniało, że żyjesz na świecie.

— O! znasz mnie, panie, w najgłębszych tajnikach, znasz z najwyższą dokładnością; racz więc wskazać ratunek, a do zgonu najrzetelniejszą zachowam wdzięczność.

Dałem, o ile można, najwięcej pojedyncze a stanowczo skutkujące przepisy, to jest: radziłem mu albo zrzec się nieszczęśliwego zawodu albo mimo lat pięćdziesięciu uczyć się pilnie, czytać wiele a czytać z natężoną uwagą i z pracowitością, jak np. zgłębić Platona, Arystotelesa i innych starożytnych klasyków; strawić Kanta, Szellinga i Hegla; poznać dokładnie pisarzy z czasów zygmunto-wskich; zaprzyjaźnić się z uczuciem i z myślami prawdziwie wielkich poetów jak niemniej z dzieł najnowszych wyłonić sobie ideę dzisiejszego wieku dla wiedzy, czego obecnie świat od nas żąda. — Przyczem zaleciłem okładanie serca gorącym atramentem, odgotowanym w garnku z gliny krajowej.

Mdłości literackie, przekonałem się, dzielą się na dwie główne części, na prozaiczne i na poetyczne, wyradzają się najczęściej na wsi i po małych miasteczkach i w takich miejscach, gdzie pisma peryodyczne, gdzie zdrowa umnicza krytyka bardzo rzadko albo wcale nie dochodzą. Jest to choroba rodowa, nasza własna i pierwszy początek bierze z odrazy do czytania książek czysto naukowych, nie rzadko z odrazy do literatury zagranicznej (nie mówię tutaj o śmieciach literackich ale o pisarzach genialnych). Przed pojawieniem się romantyczności litewskiego wieszcza była epidemiczną po całej niemal Słowiańszczyźnie; — cierpieniem tym uległo wielu słynnych w kraju naszym mężów; dzisiaj czepia się tych tylko jeszcze, którzy nowych wyobrażeń ani przyjmować ani po-

jąc nie chcą. Jeżeli chory długo bez pomocy le-
karskiej zostaje, literackie mdłości zmieniają się
w rymowe zatwardzenie wątroby, *casus incurabilis*,
w chorobę z literackim skirem blisko graniczącą.

Ledwo że mnie p. X. . N... opuścił, ledwo żem
świeżą fajeczkę zaniecił, wbiegł, o pozwolenie nie
pytając Pawełka, cichuteńko na palcach, w cią-
głych ukłonach, młodzieniec cudnej urody, z jasno-
płowym, niedbale po czole rozchwianym włosom,
ze spojrzeniem tak czułym, tak tkliwym, tak rze-
wnym, tak melancholicznym, iż rozumiałem, że
bledziuchno niebieskie oczy tego panicza raczej
dziewicy nie zaś mężczyzny są własnością; i gdyby
nie krawatka *à la Taglioni*, gdyby nie kamizelka
à l'Espartero, gdyby nie rajtrok *a la Pagliasso*
(*Bajazzo*), gdyby nie brzęczące u chińskiego obu-
wia ostrogi, w zakład-bym poszedł, że los ży-
czliwy nadobne lwiątko do mego wprowadza uchro-
nia. Lecz jeżeli powierzchowność była wydmucha-
nym odbiciem pieszczonego dziewczęcia, jeżeli gło-
sik łagodnością zachwycił, niemniej treść mowy
do łez wzruszała.

— Przebacz, panie! że nie znający, nie znany,
pomocy tutaj szukać przychodzę; — wszakżeż
rozgłos dobroci serca wm. pana dobrodzieja...

— Panie dobrodzieju!...

— Jestem literat — o stokroć więcej aniżeli
literat — wstydzę się pomyłki — jestem piewcą!
jestem poetą!... Ale czarna gwiazda mojego prze-
znaczenia, która nad moje zajrzała kolebkę, za-

ciemniła i drogę młodzieńczego żywota i ściga mnie wszędzie i zawsze. Od lat dwóch jestem skończonym poetą; moje utwory zakwitły na najtkliwszej wyobraźni, obrałem najwdzięczniejszą niwę, splotłem równiankę wyrazów najczulszej miłości!— Ale wróg mojego szczęścia, nieprzyjazny duch mojego jestestwa, sprowadził w mój organizm wielką, nadzwyczajną, niewysłowioną rozkosz, słodycz i przyjemność, która innym a osobliwie memu stryjowi chorobą się wydaje.

— Boże cię broń, kawalerze!

— O! to nic nie jest; ja się zupełnie pod sąd wm. pana dobrodzieja oddaję. — Stryjaszek gwałtem nastaje abym się nie zajmował wierszami, i twierdzi, że z nich w większą chorobę popaść mogę, że to jest moją zgubą. — Mama w wielkiej ztąd niespokojności żąda, abym od wm. pana dobrodzieja przyniósł świadectwo, że mi robienie wierszy wcale nie szkodzi, że bez uszczerbku zdrowia poezyi poświęcić się mogę.

— Mój miły kawalerze! powiedz mi, proszę, jaka cię to przyjemność napada przy robieniu wierszy?

— Oto tak, mości dobrodzieju! przy zamkniętych drzwiach, przy zasłonionych oknach, sam na sam spisuję końcówki najpiękniejsze, potem dorabiam wiersze, i wystaw sobie pan dobrodziej, co to jest talent! Wyborne z tego robią się poemata.

— Doprawdy?

— Tak jest, słowo daję. Po ukończeniu zwykle taki poemat odczytuję sobie. Świat mi z oczu znika a ja wpadam w jakąś lubość, przyjemność, rozkosz.

— Czy to nie młodości czasami?

W prawdzie zawsze mi wtenczas tak młdo, tak słodko, jak gdyby mnie kto miodem przesycił; — boć téż pan wiesz najlepiej, że poezya jest słodsza od miodu; — to mnie jednak najbardziej gniewa, że kiedy moje poezye innym czytam, nic tego nie czują. — Ludzie są kamienni! Mało znajomi słuchają jakoby przez grzeczność, przyjaciele uchodzą do przyległych pokoi a krewni dokończyć nawet nie dadzą. Ostatni wypadek najbardziej mnie zmartwił; racz tylko pan dobrodziej posłuchać łaskawie. Napisałem fantazyjną odę pod tytułem: «Miłość Aniołków», gdzie wystawiłem, jak jeden mały aniołek płci żeńskiej kochał się w 24 aniołkach płci męskiej. Naturalnie tkliwość w takim zgromadzeniu wielka. Odę tę jako na surpryzę mamie czytałem w dzień jej imienin wśród gości, których się mnóstwo zebrało. Cóż pan powiesz? — Deklamacya była wyborna; ja z uczucia i z najżywszej rozkoszy wpadłem jakoby w małeńkie omdlenie, a obecni — nie! — nie powiem panu dobrodziejowi, bo mi to bardzo przykro że są tacy ludzie dzicy, zbójcy własnego serca, na których nawet te wiersze żadnego nie zrobiły wrażenia.

„Serce żyje dla serca, w sercu bije serce!

Dwadzieścia pięć serc w jedną goreje iskierce,

I w tę isierkę miłość bezustannie dmucha,

I ten serc związek ogniem nadzwyczajnym bucha“.

— Wybornie, wybornie! — gdzież, kawalerze, do szkół chodziłeś?

— Pierwotnie uczyłem się z mojami siostrami przy guwernantce przez lat 4, bo mama długo nie mogła się z tą myślą oswoić, iżby mnie w obce powierzyć miała ręce; wszakżeż później na powtarzane żądania stryja oddano mię do Warszawy; ale że mama obawiała się, abym się wśród szkolnej młodzieży nie zepsuł, brałem więc tylko prywatne lekcye śpiewu, muzyki, tańca, historyi naturalnej, rysunków, konnej jazdy i przedewszystkiem konwersacyi w języku francuzkim.

— Więc kawaler nie był nigdy w gimnazyum?

— Złożyłem egzamin do trzeciej klasy, jednakże dla słabości zdrowia do gimnazyum nie uczęszczałem.

— W której epoce nabrał kawaler natchnienia do poezyi?

— Ja już przy guwernantce pisywałem wiersze, które moję mamę do łez pobudzały. Stryj tylko, człowiek stary i zrzędnny, nazywał to niedoręcznością i stratą drogiego czasu. Następnie biorąc lekcye u pana Gammé, tłumaczyłem wiersze francuzkie zaraz na polskie i pod jego to kierunkiem wykształciłem się właściwie na poetę...

— Poezye kawalera już są drukowane?

— Niektóre — a wszystkie o miłości, bo ja zawsze o miłości piszę; lecz najmocniej pana dobrodzieja proszę, daj mi na to sposób, ażeby ci,

którym ja moje utwory czytywać będę, równie ze mną wpadli w rozkosz, w omdlenie!...

— Ja sędzę, że lepiej będzie, jeżeli ty sam, kawalerze, pozbędziesz się tych mdłości a przynajmniej, abyś ich w takim nie miewał stopniu, który strachem przejmuje mamę i gniewa stryja.

— I to dobrze; czy mi pan jaką receptę zapiszesz?

— Tak jest!

Wziąłem więc papieru ze złotym brzegiem i do matki miłosnego poety napisałem:

Jaśnie Wielmożna Pani!

Syn j. w. pani cierpi mdłości literackie. Słabość ta dotąd nie ma nic niebezpiecznego, należy tylko młodzieńca baczniej prowadzić i robić co tu przepisuję:

1) natychmiast jego wszystkie wiersze bez wyjątku spalić;

2) książki z poezją jakiegokolwiek rodzaju odebrać i starannie przed nim schować;

3) winien pobierać każdodziennie dwie godziny matematyki;

4) po kilku miesiącach rozpocząć z nim lekcye administracyi i prawa; która z nich mniej go nudzić będzie, téj niechaj się całkiem poświęci;

5) poddawać mu do czytania dzieła prozą pisane, których nie urojenie ale rzeczywistość i rozsądek są charakterystyką, — a osobliwie dzieła historyczne;

6) gdyby bardzo tęsknił za wierszami, pozwolić mu je robić ale bez końcówek.

Po sześciu miesiącach, jeżeli powyższe środki skutkować nie będą, proszę mi przysłać pacyenta.

List ten zapieczętowany powierzyłem młodzieńcowi przy zaręczeniu, że zawiera żądane świadectwo zdrowia. Nie domyślając się sprzecznych swój woli lekarstw, podziękował uradowany i pięć czątych na stole położył. — Zwróciłem pieniądze, upewniwszy go, że ja słabości literackie zawsze darmo leczę.

— Więc przynajmniej pozwolisz, panie, że na cześć twoję ode napiszę!

— Bardzo dobrze, skoro tylko mama i stryj na to zezwolić raczą, — odrzekłem i pożegnałem młodzieńca.

Szczęśliwy, żem się pozbył kawalera z poetycznemi mdłościami, odrywam się od wszelkich chorób i w świat zdrowy puszczam cugle mojej wyobraźni, marzę spokojnie i tak wielka cichość otoczyła moje mieszkanie, że brzęk komara, jak gdyby trąbkę kawalerzysty słyszeć było można; — w tém drzwi trzasnęły, odepchnięty od nich Pawełek upadł jak długi a straszliwie groźne wyrazy nagle nad mojem uchem zabrzmiały.

— Ha! barbarzyńco! ha! człowieku bez sumienia! złapałam cię przecież! Więc to wpan o mdłościach piszesz i z moich dzieł, a nawet z mojej osoby wzorki sobie wybierasz, abyś niemi śmieszków bawił? — Więc i ja na mdłości choruję? —

Bo się tak wpanu podobało i tak wpanu potrzeba. — O! nie ukrył się ten projekcik, wiem o nim od moich przyjaciółek, wiem wszystko, wiem najdrobniejsze wpana zamiary, wiem, co w twojej głowie...

— Mościa dobrodziejko! rozumiem...

— Co wpan rozumiesz? nic nie rozumiesz! nie wolno ci rozumieć! bo dzięki postępowi czasu znikł feudalizm sądu. Mam własne zdanie o moich pracach i cudzego nie potrzebuję, ani mu też nie wierzę. Nie wiele potrzeba rozumu, ażeby odgadnąć, jakie będą rady wpana na mdłości, któreś w Bibliotece zapowiedział, rozgłosił, rozkrzyczał. Czy pan myślisz, że ja pozwolę, abyś mój honor literacki nicował i szarpał?

Oniemiałem, patrząc na okazałą postać niemłodej już kobiety, która w zwichrzonym ubiorze, w wielkim, w tył opadłym kapeluszu, z pałającym wzrokiem, jednym tchem prawie tę całą rozmowę wyzionęła. Widząc, że się cokolwiek zakrztusiła i że będzie nieco czasu przemówić, odezwałem się najgrzeczniej:

— Pozwól, pani!...

— Co? ja mam pozwolić, ażebyś wpan wydierał mi moję zasłużoną reputacją... o! nie, z tego nic nie będzie! Przeciwnie, ja wcale nie pozwalam!...

— Ale...

— Co za ale! żadne ale! Moje pisma są bez ale! wpan obłądniałeś ze swoim ale. — Czytałeś

je przynajmniej po kilka razy? A więc dobrze... Mój pierwszy romans p. t. «Mały beksa» powiedz, powiedz śmiało, zły czy dobry?

— Zaiste nie wiem...

— O Boże! on nie wie!... serce mi pęka! nie wie! Bo wpan nic nie wiesz, a co wiesz, to wszystko czarno. — Patrzcie! takie dzieło nie przemówiło do jego duszy. Mniejsza o to; lecz jeżeli masz Boga w sercu, powiedz, jak ci się podoba moja druga powieść historyczna, czysto historyczna, pod tytułem: «Heloiza i Sułtan» w rok później drukowana; powiedz, zła czy dobra?...

— Byłoby nieprzyzwoitością...

— Jak? co? nieprzyzwoitością! Zabijasz mnie okrutniku! piersi moje boleścią przeszywasz! Więc nieprzyzwoita dla tego, że Heloiza poznała Sułtana... O uprzedzenie!... dobrze, więc dobrze! Za to mów mi otwarcie, czyli moje ostatnie dziełko: «Trębacz i Pasterka» nie jest arcytworem poezyi?

— Wyznaję, że niedorzeczność...

— Niedorzeczność! ratujcie mnie! ratujcie! — i szanowna literatka legła zemdlona na moje ręce... Ciągnę na sofę, trzeźwię wodą kolońską, octem, tabaką; mdłości i mdłości, nic nie pomaga. W największej trwodze, dzięki Bogu! myśl szczęśliwa zabłysła; rzuciłem się na kolana i w lewe ucho z całego gardła krzyknąłem:

— Pani dobrodziejko! pani dobrodziejko! pani nie raczyłaś mnie zrozumieć, pani mi mówić nie dozwoliłaś! Ja chciałem powiedzieć, co czuję,

o czém przekonany jestem, że Mały Beksa prześliczny, że Heloiza i Sułtan doskonały, historyczny i cudowny utwór, że Trębacz jest ozdobą literatury. Słyszysz, — pani, wszystko przetłumaczone na język francuzki, niemiecki, angielski. — Ja jutro, z pewnością umieszczę w Kuryerze z moim własnym podpisem pochwalny rozbiór wszystkich dzieł pani.

Na te wyrazy, jakby ręką kto odjął, ustały natychmiast mdłości; a literatka, podnosząc się lekko i śmiało i poprawiając ubiór, z przyjemném wejrzeniem a z miłszym jeszcze uśmiechem wśród licznych ukłonów i dygów słodziutkim wyrzekła głosem:

— Ach! szanowny mości dobrodzieju! po tyśiąc razy przepraszam... To moich przyjaciółek robótka, — to ich ploteczka, którym ja w żaden sposób nie wierzyłam. Przyjm wpan dobrodziej zapewnienie mojego szacunku i najżywszego uczucia, jakie dla jego osoby i dzieł znakomitych powzięłam, dzieląc tylko sympatyą, a jaką publiczność i najświatlejsi mężowie dla niego mają...

— Mościa dobrodziejko! pani zdolności są znane a ja uważam tę chwilę za najprzyjemniejszą w życiu mojem, bo znalazłem sposobność zbliżenia się do tak wysoce cenionój osoby...

— Jak to dobroć ludzi jednoczy...

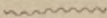
Nie będę Cię, szanowny panie Redaktorze, dłużej nudził; dodam więc tylko, żem został zaszczyczony zapytaniem: kto mnie rodzi? — że ju-

tro proszony jestem na familijny obiadek, przy którym po spełnieniu kieliszka starego wina mamy się dopiero ostatecznie naradzić, jak rzeczoną przyobiecana recenzją zredagować, i w których gazetach pozamieszczać.

Zamilczec nie mogę, że po odjeździe najsza-
nowniejszej literatki przybyło jeszcze nieobliczone
mnóstwo słabowitych; — alem zawczasu do inne-
go zamknął się pokoju, a Pawełek, którego przy-
tomności umysłu dosyć pochwalić nie mogę, tło-
czącym się gościom powiedział, żem do Ryczy-
woła wyjechał.

Nazwiesz mnie, panie, Machabeuszem, jeżeli
w życiu mojem z kimkolwiek o mdłościach po-
mówię, jeżeli jedną literkę o mdłościach napiszę.

Z rzetelném poważaniem i t. d.



ŚRODEK, ZAKOŃCZENIE, POCZĄTEK; ŚRODEK I MALEŃKI DODATEK.

Rzecz dzieje się w Jagnięcej Woli, we Florencyi i w Angielskim hotelu przy ulicy Wierzbowej w Warszawie.

Szkic zostający w otwartój nieprzyjaźni z rzeczywistością a z bujną wyobraźnią mocno spokrewniony; rzucony na papier w chwilach tkliwej zadumy.

*W marzeniach serca naszego
częstokroć za granice rzeczywisto-
ści schodzimy.*

Wyjatek z tysiej głowy chirurga.

ŚRODEK.

W szlacheckiej wiosce Jagnięca Wola pomiędzy dwudziestu gospodarzami był najzasobniejszym Józef Kapusta; siedział bowiem na kmiecój roli, miał 4 konie, 3 pary wołów, wysiewał 15 korcy oziminy i robił do dworu 12 dni w tydzień, dla tego też trzymał dwóch parobków, dwie dziewczki i dwóch średniaków. Z czworga dzieci utracił jednego syna na wojnie, drugiego posyłał do szkoły i wykierował go na księdza, trzeciego sposobił na pracowitego kmiecia, a jedyną córeczkę Marychnę, na całą okolicę najraźniejszą i najkraśniejszą dziewczynę, jak oka w głowie doma strzegł i dzień

dnia albo ją sam do organisty na naukę czytania prowadzał albo też z matką posyłał.

Marychna była gibka jak trzcina, biała jak lilia, na buziaku iście róża, a z czarnych oczu jeno się iskry sypały, i jój piękności żadna kobieta we wsi przygany nie dała a parobcy, chociaż mówili, że ma za drobne ręce do roboty, to przecież ani jednego nie było, któryby nie miał żądania pojąć Marychnę za żonę; a i dworscy ludzie i organista smalili do dziewczęcia cholewy, sam nawet pan ekonom, który w Jagnięcej Woli panował, nie ukrywał się z tém, że mu się statecznie podobała Marychna. Gadali po wsi, że Józef Kapusta wykopał w lesie pieniądze, że widziano, jak razu jednego dwie niecki zapleśniałych talarów na słońcu wysuszał i że prócz tego ma kupę złotych pieniędzy; — ale to wszystko było bajką, bo cała gotowizna Kapusty składała się rzeczywiście tylko z 300 złp., które chował na wesele Marychny. Przędziwa szmat rozmaitych, żywego dobytku, jako to: żrebców, jałoszek, owiec, ba nawet i pszczoł, było w dobrej mierze; ale pieniędzy Kapusta sprawiedliwie nie miał więcej jak te 300 złp., gdyż wizerunku Chrystusa, w bursztynie wyrobionego, rękojęści od pałasza, który osobiście zdobył na hiszpańskim jenerale, i krzyża na niebieskiej wstążeczce, — jakkolwiek były to niezmierne dla Józefa bogactwa, — do gotówki brzęczącej nie można było policzyć. Czystość domostwa i cała gospodarka Józefa była na osobliwszy przykład

w uściech wszystkich ludzi ze wsi, a i to jeszcze zwiększało poszanowanie Kapusty, że z wszelką kłótnią, jaka się we wsi przytrafiła, od lat wielu chodzili ludzie kwoli rozsądzenia nie do dworu, nie do pana podsędka, ale zawsze do Józefa Kapusty. Tak tedy zacny kmieć zażywał szczęścia i dziękował Bogu za wszystko dobre, — kiedy razu pewnego strugając na podwórku zęby do brony, usłyszał przy wrotach ujadanie psa Kruczka, a i zaraz spostrzegł przed sobą nieznanego mu wcale parobka.

— Niech będzie pochwalony!...

— Na wieki wieków.

— A do kogóż?

— Do gospodarza Józefa Kapusty.

— A cóż mi powiecie?

— Chciałem od was usłyszeć, czybyście mnie nie przyjęli na służbę?...

— A zkadżeś to, chłopcze?...

— Jo z tamtęj strony Wisły, z Królewsczyny.

— I cóż cię tu w nasze strony przygnało?

— U nas smutno pomiędzy lasami, latoś i głód; mój gospodarz zmarł na środo-pust, od św. Wojciecha obsadzili nowego, bo gdowa nie mogli sobie dać rady; — więc jo poszedł tutaj szukać innéj służby; właśnie na wiosnę tedy po żelazo do fabryki jeżdżąc, widziałem Jagnięcą Wolę i udała mi się wasza okolica, a że u was pono nowiejsze gospodarstwo, więc się i do was przepytałem, bo mi ludzie do was raili w tamtęj ejno wiosce.

— Jakżeż ci na imię?...

— Jantek Kozik.

— A umiesz ty dobrze orać, — potrafisz kosać?...

— Jo jesce nie wiele orywał ani tez z kosa nie chodził.

— Takeś wyrósł a roboty nie umiesz? To chyba ci iść do dworu na fornala.

— Nie chce jo za fornala, bo mnie właśnie trzeba na wsi służyć, żebym się wszelkiej roboty nauczył i wolę u was służyć ze strawy niżeli we dworze za najdroższe myto.

— To ze strawy będziesz służył, a któż ci da przyodziewek?

— Mnie sukman wystarczy na kilka roków, a i mom gotówką 100 talarów po stryju, co byli młynarzem; mnie tam pieniędzy nie żadna nagłość.

— Dobry z ciebie człek, kiedy, mając sto talarów, pracy nauczyć się chcesz. Jeżeli więc okazujesz wolę u mnie służyć, to cię, Antku, i wezmę; ale czy tylko masz kunotatkę od waszego wujta?

— Mom pozwolenstwo na stęplowym papierze.

— A kiedy tak, to i zgoda; a jak będziesz ręku nie lenił a poduczysz się roboty, najdzie się i zapłata; bo chociaż, chłopaku, masz sto talarów, jednakże ja nie pragnę, abyś mi darmo pracował.

— O tém potem, panie gospodarzu; teraz pokazać mi tylko, jaka jest u was robota.

— Odpocznij sobie do jutra, boś przecie kilka mil zeszedł, a i trza ci się w ludziach i we wsi

rozpatrzyć. Idźno do izby i powiedz gospodyni, żeby mi dała okrycie; zaprowadzę cię do sołtysa i do pana gminnego, a potem poczęstuję cię, Antku, półkwaterkiem, byś przecie nie mówił, żeśmy cię wodą ze studni do domu przyjęli.

W południe wrócił z Antkiem Kapusta do swojego domu i, zapowiedziawszy kobiecie, że Antek w służbie u nich zostanie, kazał mu usiąść z inną czeladzią do wspólnej miski; a był na ten dzień galante groch z pęczakiem i szperką i gryczane klóski z kwaśnym mlekiem i zdarny razowiec ze świeżego bochna.

— A cóż to, Antoni! że tak mało jadłeś, — ozwała się gospodyni Agnieszka, — nie smakowałyżby ci nasze sandomierskie klóski?...

— Kaj tam nie mają smakować! Tylko że jo juz takięj natury, że nie wiele jodam, i proszę was, gospodyni, abyście na mnie nie zważali.

— Trudno nie zważać, kiedy mój Maryś więcej od ciebie zjadła, a to przecie dziewczucha nie chłopiec, a tyżeś jeszcze kilka mil dzisiaj ubieżał.

— Nie turbujta się o mnie, juz jo z głodu nie zamrę.

— Niech Pan Bóg i Przenajświętsza Matka bronią, żeby kto miał u nas z głodu zamrzeć. Maryś, schowajzesz dla Antka tych klósek, może się z nimi przed wieczorem pogodzi.

Zdziwił się nazajutrz Kapusta, gdy Antka do cepy postawił a chłopiec nawet snopka nasadzić

nie umiał, i jak zaczął cepami onacznie machać, tak się téż chudziaczek i bijokiem za ucho uderzył i krwią zalany upadł na ziemię; a że był mocno skaleczony, więc go aż trza było do chałupy zanieść i zrobić koło niego opatrzenie.

— Jak żyw jestem na świecie — mówił Wach parobek, — tak jesce nie widziałem, żeby taki człek jak Jantek, na wsi wyrosły, do tyła cepy w rękę wziąć nie umiał; a toć-że mu chyba pierwszy raz młócić.

— Znać go do cepy nie używali, — odrzekł Wojtek, a gospodarz Kapusta kiwnął głową i powiedział, że i on, jak ze żołnierki powrócił, trzy razy jednego dnia sierpem się zarznął.

Ze wszystkich najwięcej była osmuconą Marychna, bo, przykładając Antkowi na ranę szmatkę z octem, słyszała, że mu aż serce z bólu pukało.

Upłynęły dwa tygodnie, Jantek już z izby wychodził i przyszło li do tego, że mu kazali sieczki dla koni urznąć; — ale czy kto zły urok rzucił na Jantka, czy Pan Bóg zesłał na chłopca skarcanie, dosyć, że ledwo sieczkę rznąć zaczął, zaraz sobie rękę srodze okaleczył, bo bez mała dwóch palców nie stracił.

Gospodarz.

A jużetéz w nieszczęśliwą godzinę do naszej wsi przyszedłeś. Jantku, ty chyba przez życie żadnej roboty nie znałeś?

Gospodyni.

Olo Boga! lo Boga! cos tesz to za nieszczęście! A kajżeż tam i oczy miałeś, na palice kosę zakładać.

Gospodarz.

Chyba trza posłać do owczarza; niechaj żywokostu przyniesie, bożeś ty, chłopcze, aż do kości zakroił.

Marysia (drżąc cała z przerażenia).

Kochany rodzicu, owczarz nie pomoże; czy nie lepiejby było, żebyście posłali po felczera do miasta.

Antek.

Przepraszam was, gospodarzu, że wam tyle narobiłem turbacyi; ale, jeżeliście łaskawi, to poślijcie po doktora; ja zapłacę doktorowi i za furmankę.

Gospodarz.

Cóż tam masz płacić, mój chłopcze; kiedy ci się u mnie przytrafiło nieszczęście, to już mój kłopot być musi; — naści oto chleba z pajęczyną, przyłóż tymczasem, a ty, Marysiu, powiedz Wojtkowi, żeby założył siwego konia i tę karą żrebicę i niechaj duchem jedzie po doktora, tylko okryjesz pstruchą siedzenie.

Marysia pobiegła skutecznie rozkaz ojca; Wojtek, długo nie bawiąc, założył konie, pojechał i w kilka godzin przywiózł doktora.

Spodziewać się należy, że doktor Jantka opatrzył, i że rodzina pocziwego Kapusty szczerze o Jantku miała staranie, skutkiem czego w 8 dni po tym drugim przypadku Jantek już większego bólu nie czuł, a rany się zwolna goiły, i właśnie siedział przed domostwem i w głębokim był po-grążony zamyśleniu, kiedy, z ogrodu wracając, zapytała go Marychna:

— Może-by już czas świeże dać przywinięcie; czy dzisiaj boli jeszcze?

— Boli, ale już nie ręka.

— A cóż cię boli? czy głowa z dawniejszego?

— Marysiu! nie głowa ale serce mnie boli.

— To pewno ze zmartwienia, że cię taka bieda spotkała.

— Usiądź przy mnie, rozmawiaj ze mną, to mnie i serce boleć przestanie.

— Żeć-by moje rozmawianie pomódz ci mogło, to żebym cały dzień rozmawiała.

— Marysiu! z pewnością pomoże; tylko oto usiądź przy mnie, a ja ci opowiem jedną historyjkę.

— I czemuż nie!

Marychna poblizko usiadła, a Antek, patrząc się w modre oczy dziewczęcia, tak prawić począł:

— Z tamtej strony Wisły jest jeden bogaty panicz...

— A czy ładny panicz?

— Wystaw sobie, Marysiu, że do mnie podobny...

(Marychna się uśmiechnęła).

— Otóż ten panicz z młodu był chowany w wielkiem mieście i wcale nie znał wiejskiego ludu i dopiero, gdy gdzieś w jakiejś książce przeczytał, że lud nasz jest pocziwy, że go szanować i kochać należy, zapragnął wtedy zbliżka zobaczyć te ręce, z których ciężkiej pracy się żywił, zapragnął być pomiędzy ludem, rozpatrzeć się w jego obliczu, zbadać źródło jego przywar i błędów, aby następnie mógł szczęśliwie wpłynąć na polepszenie losu przynajmniej tych rodzin, które pod jego bezpośredniem zwierzchnictwem zostawać będą; — i w tym to celu poszedł pomiędzy lud wiejski, przyjął służbę u jednego z cnotliwych gospodarzy; — ale tam mu się źle powodzi, i do tego jeszcze pokochał śliczną córkę tego gospodarza i teraz wielkiej doznaje przykrości, bo nie wie, czy śliczna dziewczyna jest mu wzajemną, i nawet nie wie, jak sobie począć, aby ję powiedzieć, że on ją kocha, bo, odstawiając ję swoją miłość, winienby zaraz wyznać, że nie jest chłopem, ale bogatym paniczem, przez co mógłby cały swój zamiar zniweczyć, bo śliczna dziewczyna nie wierzyłaby bogatemu paniczowi. Cóż ty na to powiesz, Marysiu?

— Ja oto naprzód powiem, że was, Antoni, mam za jakiegoś człowieka co nie jest chłopem, bo chłop takby nie potrafił powiedzieć, jak wyście teraz mówili; a co do waszjej powiastki tom bardzo ciekawa jak się téż zakończy.

— Widzisz, Marysiu, koniec téj powiastki od

ślicznój dziewczyny zależy. — Jakżeż ty, Marysiu, radzisz téj ślicznój dziewczynie?

— A cóż ja mam radzić; żeby mnie się taki panicz zalecał, tobym mu powiedziała, że nic nie wskóra, bo dla niego szlachcianki po dworach a nie wiejskie dziewczuchy.

— Ale uważaj, Marysiu, że ta śliczna dziewczucha nie wie, że to jest bogaty panicz.

— Kaj tam nie ma wiedzieć; zaraz to inny jest obyczaj u takiego panicza; czy wy, Antoni, myślicie, że, jakżeście tylko do nas przyszli, jam nie poznała, że wy nie ze wsi?

— I za kogóż mnie tedy sądzisz?

— Ja was sędzę, albo ja wiem, za kogo; ja tylko wiem, że wy nie ze wsi, i już dawno mówiłam matuli, aby wam lepszego dawała jedzenia.

— A cóż twoja matka powiedziała na to?...

— Matula poszli do tatuli i opowiedziała to, co ja mówiłam.

— A cóż na to powiedział gospodarz, ojciec twój?...

— Długo nic nie powiedział, tylko mu wejźy w oczach stanęły, aże się matula wylękli; i kazał wam dawać jeść, co najlepszego mamy w domu i mówił, żebyśwa nic do nikogo na wsi nie gadali; i tatulo mówili, że zły człek być nie możecie, bo macie czyste spojrzenie; tylko mówili, że, gdybyście kiedy mieli chcieć waszych pieniędzy i sukman, które macie we skrzynce matczynej, aby wam zarazwydać, nie czekając na tatulę,

i żeby wam żadnej nie czynić przeszkody, jakbyście od nas czy na dzień czy w nocy odejść chcieli; — a potem poszli tatulo do stryjów i cały wieczór radzili kiele stryjowskiego domostwa.

— Dawnoż to temu, Marysiu, jak twój ojciec kazał mi dawać co najlepszejsze jedzenie?

— Będzie chyba już przez jutro tydzień cały.

— I potem więcej nic o mnie nie mówił?

— Nie słyszałam nic więcej; tylko oto wczorajszej nocy, jak karbowy mocno do okna zastukał, tatulo kazali mamuli, aby do was na stodołę chyżo pobiegli; ale jak się karbowy ozwał, że tylko mają dwojgiem posłać do sierpa, to kazali matuli już do was nie chodzić, jeno mówili, że trza nazajutrz Walka i Jagnę ze sierpami posłać.

— Twój ojciec jest bardzo poczciwy człowiek, może mu potrafię wdzięczność moję okazać; — ale teraz powiedz mi, Marysiu, gdybyś ty była na miejscu tamtej ślicznej dziewczyny, co się to do niej przebrany panicz zalecał, czybyś ty go kochała, żeby on ci powiedział, że bez ciebie żyć nie może?

— No pierwój, że ja nie śliczna, a potembym mu powiedziała, że, choציabym ja go kochała, toby mu się na nic nie przydało, bo ja tylko wiejska dziewczucha.

— Ale żeby on chciał się z tobą ożenić i rodziców twoich prosił o pozwolenie?

— A cóż, czyby rodzice pozwolili, abym ja szła za mąż za takiego człowieka, co nie umie żadnej roboty?

— Wy - byście niepotrzebowali pracować bo ten panicz jest bardzo bogaty.

— Tatulo tam nie potrzebują bogatego zięcia.

— Więc on zostanie ubogim, nauczy się wszelkiej roboty; czy będziesz go wtenczas kochała, Marysiu?...

— Przez żywego Boga! cóż wy, Antoni, gadacie, kogo ja mam kochać?

— Mnie, Marysiu, który ciebie pokochałem nad wszystkie bogactwa na ziemi, nad całe życie moje!

— A któż też to słyszał takie powiadanie!

A to żebyście wy mnie kochali, to-byście uprosili kogo na swaty,... i z resztą co ja tam gadam. Jeżeli wy, Antoni, jesteście tym bogatym paniczem, to się zlitujcie nademną i nie psujcie mi w głowie; tylko sobie idźcie, zkądźcie przyszli; boć że my wam nie chcieli nic złego uczynić...

— Marysiu, ja sprowadzę swatów, — ja będę prosił twoich rodziców, ty musisz być moją do śmierci!

Marysia zarumieniła się po oczy, zakryła twarz fartuszkem i uciekła do chałupy, a Antek pozostał z sercem czystej miłości i dumał, co mu dalej czynić wypada.

ZAKOŃCZENIE.

W trzy lata później młoda, cudnej urody jasnowłosa pani pisała przy palisandrowym stoliku w jednym z pałaców Florencyi.

Najukochańsi Rodzice!

Wczoraj odebrałam list pana Osmyckiego, przez was dyktowany, i po tysiąc razy całuję ręce i nogi wasze za tę rodzicielską pamięć o mnie, jaka się w każdym waszym wyrazie maluje. Ja z łaski Boga wraz z moim mężem zdrową jestem, maleńki Tadzio bardzo nam chorował na zęby, lecz niebezpieczeństwo już przeminęło.

Tęsknię do chwili oglądania was, tęsknię do téj ziemi, na której się urodziłam, tęsknię do wszystkiego, co mi przypomina nasze pola i łąki, i będę się zupełnie szczęśliwą mieniła, gdy się znów ujrzę w waszych rodzicielskich objęciach.

Stryjom, księdzu bratu i Walentemu przysyłam najserdeczniejsze pozdrowienie.

Wasza do śmierci przywiązana córka

Marysia.

Florencya, 15 września 184...

Zwierzchni napis był następujący:

Do rąk

najukochańszego ojca mego

JÓZEFA KAPUSTY.

przez Wiedeń i Kraków.

w Jagnięcój Woli

POCZĄTEK.

W Angielskim hotelu pod Nr. 10 przy ulicy Wierzbowej w Warszawie, dnia 8 maja, roku — co komu do tego — w niebieskim pokoju, przez miejscowego pisarza nazwanym *a la rococco*, na mahoniowej sofce, w perskim tołubku, leżał Antoni... lat dwudziestu i dwóch i trzech miesięcy młodzieniec, bardzo przystojny i bardzo bogaty, z dobrem sercem, z ukształceniem umysłowem spaczo-nem, ale nie doszczętnie krzywem, znany z dziwactw i z gwałtowności swojego charakteru; — przy stoliku naprzeciw sofki siedział w poręczowem krześle pan Stanisław... trzydziestusześciu lat mężczyzna, w skromną ubrany czamarkę.

Antoni.

To jest wszystko marzeniem tylko, ale w życie nigdy nie wejdzie, bo historyzm naszej szlachty jest świetny, a jakimże jest historyzm chłopków?

Stanisław.

Ciężka praca, częsta krzywda i ciche łzy.

Antoni.

Do pracy są stworzeni, a o krzywdzie i łzach, wierz mi, Stasiu to jest baśń romantyczna; zresztą pokaż mi chociaż jednego chłopca z wyższem, z szlachetniejszém uczuciem.

Stanisław.

Nie wiem, co rozumiesz pod wyrazami «wyższe i szlachetniejsze uczucie»; nasz lud wiejski jest

poczciviwy, pracowity i szczerze kocha tę ziemię, na której się urodził; a potrzeba żyć pomiędzy niemi, potrzeba ich zbizka poznać, aby ich cnoty a więc wyższe i szlachetniejsze uczucia ocenić; — i gdybyś w chacie jednego z poczcivych kmieci twoich kilka miesięcy przepędził, założę się z tobą o mój cały majątek, że uszanował i ukochałbyś ten lud wiejski, o którym mówisz z taką lekkomyślnością.

Antoni.

Wiesz co, Stasiu, o majątek nie mogę się zakładać, bo jestem zbyt pewny wygranej; — ale możemy zrobić zakład o 100 butelek szampana.

Stanisław.

Czy nie lepiej o sto czerwonych złotych dla nieszczęśliwych.

Antoni.

Zgoda! zakładam się o sto dukatów, że będę przez cały miesiąc pomiędzy tym tyle przez ciebie miłowanym i chwalonym ludem a zdania mojego nie zmienię.

Stanisław.

Ufam, że zmienionego sądu nie zataisz, i zakład przyjmuję.

Antoni.

Otóż za tydzień przyjadę do ciebie i w jednej z twoich wiosek przebrany za parobka postaram się o służbę u porządniejszego kmiecia. Wiesz, że

to będzie zabawnie; nawet ciekawy jestem tego wrażenia, jakie na mnie uczyni obcowanie z tymi ludźmi.

Stanisław.

Trzymam cię za słowo i naprzód się cieszę z wygranej.

Dalszą rozmowę przerwał lokaj, przynosząc bilet na krzesło do Rozmaitości; Antoni podniósł się z leżenia i kazał fryzjera zawołać. Stanisław poszedł do jednego ze swoich szkolnych przyjaciół, do Gucia, aby mu uczyniony co dopiero zakład opowiedzieć.

Ś R O D E K.

Noc ciepła, czerwcową, wonią kwiatów zapełniała powietrze; spokojna przyroda zdawała się z Bogiem rozmawiać i tylko oddalony turkot młyńskiego koła, uroczystą mieszał ciszę gdy Antoni, mniemany parobek z Jagnięcej Woli, już od godziny opodał wioski stojąc pod krzyżem na rozstajnych drogach, przy świetle księżyca wpatrywał się w wizerunek Chrystusa Pana i wspomniawszy treść zakonu: „*Kochaj bliźniego twego jak siebie samego*“, i przywiódł sobie na pamięć, ile to milionów ludzi codziennie te święte powtarza wyrazy i jak wszystkie sprawy ziemskie są w zupełnej sprzeczności z powtarzaniem tych świętych wyrazów; i dusza jego przenikniona promieniem Boskiej mądrości, uroczystą złożyła przysięgę, że

nie tylko słowy ale czynem, całym życiem swoim, będzie kochał bliźniego swego jak siebie samego, że umiłuje lud pracowity, że się z nim najściślej w węzłami zjednoczy. W tąż chwilę przyleciał po rosie cichy odgłos biegnącego konia i niezapowiedziany Stanisław na karym wierzchowcu stanął przed czekającym na niego Antonim. Zeskoczył jeździec na ziemię i dwaj przyjaciele uścisnęli się serdecznie.

— A cóż, kochany parobku, jakżeż ci się powodzi? Wygrana z naszego zakładu ku której kieruje się stronie?

— Obydwaj wygraliśmy najzupełniej; ty 100 cz. zł. dla nieszczęśliwych, ja serce pięknej dziewczyny.

— Jakię dziewczyny?

— Córkę mojego gospodarza, Józefa Kapusty.

Stanisław nagle rękę swoją z rąk Antoniego usunął i wyrzekł z osmuceniem:

— Nie spodziewałem się, abyś moje pocziwe przedsięwzięcie występłą lekkomyślnością splamić zechciał!

— Więc pojąć za żonę cnotliwą córkę pocziwego człowieka, występłą lekkomyślnością nazywasz?

— Antoni! ty marzysz...

— A ty mojego serca nigdy nie znałeś.

— Miałbyś zerwać więzy przesądów i ślepoty.

— Już zerwałem. Przed chwilą dobrowolną Bogu złożyłem przysięgę, że kochać będę bliźnie-

go jak siebie samego, że lud pracowity całém sercem umiłuję, że się z tym ludem najściślejemi węzłami połączę.

— Antoni!...

Z tym wyrazem rzucił się Stanisław na piersi przyjaciela i łza uwielbienia po mężkiem spłynęła licu.

— Ale ja ciebie proszę na swaty.

— Całą duszą moją jestem na twoje rozkazy.

— Ale zaraz jutro, albowiem syn sołtysa z Jagodny, już osiadły i zamożny gospodarz, pojutrze swoich swatów przysyła.

— Czy mu sprzyja Marysia?

Przeciwnie, wraz z swoim ojcem czują wstręt do niego, i wiesz z jak szlachetnej pobudki? Oto słyszała, że niegdyś ukrywał się przed poborem wojskowym, oświadczyła więc, że nigdy żoną tchórza nie będzie.

— Więc nie potrzebujesz się obawiać.

— Miłość to tylko moja jest trwożliwą; nadto chciałbym, aby, gdy się pojutrze sołtysiak zgłosi, rodzice Marysi mogli już bez narażenia się na nieprzyjaźń odpowiedzieć «za późno.»

— Więc jutro, jutro z pewnością przyjadę.

— Przez całe życie w mém sercu wdzięczność dla ciebie zachowam.

— Antoni! twoim wyborem szczęśliwszy jestem nad wyrażenie. Ale objaśnij mnie, czyś wszystkie następstwa dobrze rozważył?

— Dusza i serce téj dziewczyny są przeczyste, a więc węgielna podstawa mojego szczęścia jest pewną; rozjaśnienia umysłowego łatwo dokonam; niezbędnych wiadomości, kochając mnie, prędko się nauczy; pozostanie może brak świetnej ogłady, ale dla mnie milsza rdza pocziwego serca nad połysk umiejętnie ukrytej chciwości, obłudy i fałszu.

— Bóg z tobą, drogi Antosiu! jutro o godzinie drugiej z południa przybędę.

— To za rychło; cała rodzina jest przy pracy, wieś będzie bezludną, a ja chcę licznych świadków mojego szczęścia; przybądź więc w godzinę po zachodzie słońca.

— Zgoda i na to, szczęśliwy kochanku.

— Czyliż i ty, mój nauczycielu, nie mógłbyś być równie szczęśliwym kochankiem?

— O! gdyby serce moje pośród wiejskich dziewcząt wybór uczyniło, z jakąż radością uświęciłaby taką miłość dusza moja!

— Przyznaj więc, że uczeń wyprzedził mistrza.

— Przez szczęśliwy przypadek.

— Masz słuszość, drogi Stasiu! Tobie rzeczywiście winien jestem zaród prawdziwie chrześcijańskiej myśli.

Dzień był pogodny, jasny, słońce potokiem upału oblało ziemię; lud wiejski rozproszył się po ogrodach, łąkach i polach, niemowlęta i zgrzybiali tylko starcy pozostali w siole, a z niemi i Jantek Kozik, któremu niezagojona jeszcze rana nie po-

zwałała do wspólnej pracy należeć. W południe tę jedną miał pociechę, że mu gospodyni Jagniszka pozwoliła zanieść dwojaki na odległe łąki pod las, gdzie Maryś z ojcem i z czeladzią około siana robili.

— A cóż, Antoni, — mówił ojciec Marysi, gospodarz Kapusta, gdy pod cieniem drzewa do obiadu zasiedli, — nie wybierasz ty się opuścić naszej wioski, gdzie cię taka przygoda trafiła; może tobie i czas będzie ruszyć w dalsze strony.

— Czy mnie, gospodarzu, chcecie odganiać za to, żem wasz chleb przez sześć tygodni na darmo jadał? A toć-że ja wam ten ciężar rychle wywdzięczę, a Bóg świadkiem, żeście mnie ciężiej dotknąć nie mogli, jak że mnie dzisiaj odpychacie od siebie, dzisiaj, kiedy ja was mam prosić o największą łaskę na świecie.

— Nie wyganim ja cię, Antoni, ani cię od siebie odpycham, tylko tak o to myślałem, że może ci tu u nas dłużej nie miło; i tak jeszcze z innej oto przyczyny mówiłem te słowa, ale nie żebym ci kawałka chleba skąpił; — i daje się to, Bóg wie komu, a za cóżbym swojemu człowiekowi ze wsi żałować miał. Ja tylko sobie co innego myślałem; nie miejże, miły chłopcze, żadnej do mnie żalości, siedź przy nas dopóty, dopóki ci trzeba, jak jeno żywnie chcesz.

— Bóg wam zapłać, gospodarzu, tém powiedzeniem osuszyliście łzy mojego serca.

— I o cóż takiego będziesz mnie dzisiaj pro-

sił?... Maryś! idźno z Walkiem i z Jagną i skulnijcie tam wejno ten szmatek siana nad wodą, bo się niby na wiatr zanosi, żeby zaś nie zdmuchnęło na rzekę.

Maryś, rozumiejąc ojcowską wolę, zawołała na Walka i na Jagnę, i wszyscy troje odeszli ku brzegowi rzeki, która gromadzką od dworskiej przedzielała łąki.

— No miły człowieku, bo i nie wiem jakie ci dać miano, czegoż to chcesz żądać odemnie?

— Ja sam tego powiedzieć nie umiem, — odrzekł zalekniony Jantek, — wstrzymajcie się z dalszém zapytaniem do wieczora, może wam kto powie za mnie.

— Hm, ja to już dawno miarkuję; ale przecież ty po to do wsi nie przyszedł, a zresztą jesteś człek wędrowny i nie możesz żądać, abym ja, nieświadom ciebie, mógł się ku twemu żądaniu skłonić.

— A gdybyście mnie byli dobrze świadom?

— Sercem mojem to ja cię świadom, ale to nie dosyć, trzeba być i we wsi swojakiem.

— Gospodarzu! wam to wszystko opowiedzą wieczorem.

— A niechżeż opowiedzą, posłyszemy, co oni tam opowiedzą. Jestem ja stary żołnierz; nie z jednego pieca chleb jadał, toć że ja już i trafię do ładu z tém opowiadaniem. — Maryś! Maryś! niby się nie ma na wiatr, pójdźcie skończyć jedzenie, po południu wszystko razem skulniemy.

Powróciła Maryś z Jagną i z Walkiem. Jagna z Walkiem poczęli z bwojaków kapuśniak z klóskami kotłować, aż im kluski w gardle cierkały, tylko Maryś ani łyżki ruszyła, patrząc się to na rodzica, to na Antka, jak gdyby chciała treść ich zamilklėj rozmowy odgadnąć.

— Czemuż ty, Marysiu, nie jesz kapuśniaku? Czy, rybeczko boisz się, żeby ci się gęba nie skurczyła?

— A od czego by mi się miała skurczyć gęba? Czy mnie pierwszy raz jadać kapuśniak, jeno że dzisiaj nie mam woli do jedzenia.

— A słyszałaś ty, moja dziewucho, jak ksiądz proboszcz z Mylnego, na odpusćcie w Jagodni mówił na kazaniu, że Ewa za ciekawość z rajy wygnaną była; i tyże także chcesz być ciekawą?

Walek (*półgębkiem*).

— Któroz téz na świecie białogłówka nie była kiedy ciekawa?

Jagna.

— Także i ty, Walku, będziesz gadać! Wej go jaki mi do gadania.

Antek.

— Ciekawość w dobrym zamiarze nie jest błędem, brak ciekawości jest dowodem odrętwienia umysłowego...

Kapusta zmarszczył brwi i oczami wskazał Antoniemu na Walka i Jagnę. Marysia się zaru-

mieniła, Walek i Jagna rozdziawili gębę, Antoni spostrzegł się w zapomnieniu i, prostując zło, dodał: — To ze takie słowa mówił do mnie jeden szlachcic, kiedy z nim przewoziłem się przez Wisłę, a on mnie pytał, czy jo nie ciekawy, dokąd jedziemy, a ja mu odrzekł, żem nie ciekawy.

— No, no, idź mi teraz, Jantku, na młyn, żeby się z mlewem spieszyli, a ty, Maryś, odniesiesz dwojaki i powiesz matce, żebyście oprzątnęli dom, bo dzisiajszego wieczora mają być ludzie u nas, możecie się i ogarnąć.

Jantek dziękczynnie spojrział w oczy gospodarza, Jagna spojrzała na Walka, Walek na Jagnę, a modrooka Marysia spojrzała ku modrym obłokom i dreszcz przebiegł jój serce i z duszy szybko myśl do Boga rzuciła.

Jantek.

— Czyli, gospodarzu, mam do wieczora na młynie pozostać?

Gospodarz.

— Dyc tam Walentowa pilnuje, możesz na zachód słońca powrócić.

Jantek udał się ścieżką przez las, Maryś brózdą szła ku wygonowi, który do wsi prowadził.

«Boże! ach Boże! cóż téż to za człowiek ten Antoni, którego moje serce tak prędcie umiłowało! Chyba go rodzic znać musi kiedy kazał, abym się z matką ogarnęła i abyśmy dom oprzątnęły» takie uwagi zajmowały głowę Marysi, kiedy do wsi

zdążała, gdy naraz z poza góry Jantek drogę jój zabieżał i za rękę uchwycił.

— A cóż to, tedy droga do młyna?...

— Powiedz mi, którędy droga do twojego serca, Maryo! Dzisiaj moi przyjaciele będą twoich rodziców o twoją rękę dla mnie prosili, — nieprawdaż, Maryo, że jak rodzice zezwolą, ty mi nie odmówisz swęj ręki?

— Dlaczegoż mnie, Antoni, nazywacie po imieniu świętęj? Toć-że ja jestem Marysia a nie Marya, — i skądże wam przyszło chcieć mnie za żonę?

— Bo ja ciebie kocham nad moje życie, nad świat cały, kocham cię miłością najwyższą na ziemi, — kochać cię będę do grobu.

— A kto wy taki, co mnie kochacie?

— Twój Antoni, twój do śmierci wierny Antoni.

— I rodzic wie już to, kto wy taki?...

— Dowie się dziś wieczór i zezwoli z pewnością na nasze połączenie; od ciebie tylko zależeć będzie, abys mnie uczyniła najszczęśliwszym z ludzi.

— Ja wam ani krzywa ani wroga nie jestem, a jeśli rodzic będą wiedzieli, co wy za jeden a zezwolą na to, to ja...

Marysia umilkła a Antoni, rzucając się przed nią na kolana, z namiętném uniesieniem zawołał: «dokończ, o dokończ, Marysiu!...»

W tę chwilę ukazała się z poza krzaków stara kobieta z pęczkiem suchych gałęzi na grzbiecie; była to komornica Jędrzejka, na całą Jagnięcą

Wolę największa pleciucha, Herod-baba na młode dziewczęta.

— Najświętsze drzewo Krzyża Pańskiego, a cóż jo też to widziała! To tako jest cnotliwość córki Józwowój, że aże przed nią jakiś obleciświat, co każdemu we wsi jest obcy, wej oto klęczy, jak przed cudownym obrazem, a ona mu tego nie zbrania, ani złego słowa nie rzeknie! O będzie się matuś cieszyli, że taką wychowała córkę, co to jak Magda ze żołnierzami w świat poszła, albo jak Mateuszowa kobieta; a nie masz-że ty, dziewucho, wstydu w oczach, że jeszcze na mnie patrzysz! A ty wędrowny chłopie, czego się tak na mnie gapisz, jakbyś mnie pożryć chciał. Poczekajta! będą Józwowie zaraz o tém wiedzieli; nie-darmo to ludzie mówili, że to z tym wędrownikiem, co żadnej roboty nie umie, dobrze być nie może, i że on jeszcze jakie złe na wieś sprowadzi; — a czyże to nie złe, kiedy on przed młodą z naszej wsi dziewczuchą klęczy na polu jak diabeł przed duszą, co ją chce porwać do piekła.

— Milcz, głupia kobieto, bo nie wiesz, co mówisz.

— Ejno głupia, widzisz go dragała! To ja głupia, że idę z gałęziami przez pole, i że ich natrafiłam, jak on klęczy i przysięga się na wszystkie biesy, a ona go słucha jak owca i na niego spogląda, kiejby jaka grzywaczka na grzywacza, aże jęj się oczy zaczerwieniły.

— Milcz, powtarzam ci, sprośna kobieto, albo cię skarcę natychmiast.

— Gwałtu! rety! ratujta ludzie! ratujta, kto Boga ma w sercu ratujta! a toć-że ten człowiek zabić mnie chce, gwałtu! ratujta!

Marysia.

Przez miłość Boską, Jędrzejowa, nie róbcie mi takiego wstydu! moja miła Jędrzejowa, tylko nie krzyczcie! Już wam podaruję najnowszą chustę albo waszemu dziewczęciu dam wstążek do włosów...

Jędrzejowa.

— Gwałtu, ratujta! ludzie ratujta! — to ona mi chce dać chustę za to, że jój kochanek zabić mnie chcioł. Gwałtu!

Zniecierpliwiony Antoni przyskoczył i połą od sukmany zatknął Jędrzejki jadaczkę, — gdy ode wsi pokazał się na koniu ekonom z charapem, a posłyszawszy hałas i widząc szamotanie się parobka z kobietą, w galop na miejsce kłótni przybiegł.

Ekonom.

— Cóż to, szelmo! chamie! masz za racją napastować starą kobietę! — tych słów domawiając skropił grubym charapem raz, drugi i trzeci hrbicza Antoniego... — przez plecy, przez twarz i przez głowę.

Antoni bez namysłu rzucił się na ekonoma, zwałił go z konia, w jednej chwili wyrwał mu z ręki charapnik i w groźnej stanął postawie.

Ekonom.

— Chamie! szelmo!... — *obracając się ku wsi* — Franciszku! Franciszku! Ignacy! Ignacy! bywaj! bywaj! a bywajesz zaraz!...

Marysia.

— Antoni! jeżeli ci Bóg miły, uciekaj, Antoni! uciekaj, bo on cię zakatuje.

Ekonom.

— Poczekaj i ty czyżyku, — dam ja ci namawiać go do ucieczki; to pewnie was Jędrzejka zesła na jakiej...

Antoni.

— Milcz, potworze, albo ci zęby wybiję.

Ekonom.

— Takiś ty to ptaszek?... — *odwracając się ku biegnącym na pomoc włodarzom.* — Bywaj! bywaj!

Marysia.

— Na rany Zbawiciela Chrystusa zaklinam cię, Antoni, mój ty miły, mój drogi Antoni, uciekaj, dopóki oni nie nadlecą.

Antoni.

— Maryo! uspokój się, mnie włos z głowy nie spadnie.

Ekonom.

— Ja ci, szelmo, wszystkie kudły ze łba powyrywam; dam ja ci rzucać się na ekonomską osobę.

Nadbiegli włodarze i, na rozkaz ekonoma żylastemi rękoma uchwyciwszy Antoniego za kołnier, już go powalili na ziemię i kolanami przygnetli i już ekonomski bizun miał mu żebra przeliczyć, — gdy Marysia, rzucając się pomiędzy nich, okropny raz otrzymała przez głowę i krwią zalana straszliwy krzyk wydała. Krew dziewczyny padła na ręce Antoniego. Częstokroć siła rozpaczy wszelką wiarę przechodzi, Antoni, ciężarem dwóch olbrzymich chłopów gnieciony, wrywa się z pod ich kolan i ręku, zrywa się z siłą olbrzyma, w dwie przeciwne strony jak dwie piłki włodarzy rozrzuca i pięścią w pierś ekonoma uderza — i bałtożnik z jękiem upada na ziemię.

— Takie to więc są wasze sądy i wyroki na lud pracy i nieskażonej cnoty! Zbrodniarzu! jam blizkim krewnym twojego pana, jam jest hrabią, dziedzicem piętnastu włości. Moję krzywdę przebaczam ci najzupełniej, ale za tę krew, którą przelałeś z głowy mojej narzeczonej, kajdanami ręce twoje okuję. — Czy rozumiesz, że włościanin, który urósł pod waszym batogiem, mógłby się do ciebie mową do moich słów podobną odzywać? Czy nigdy z ust twojego pana nie słyszałeś nazwiska hrabiego?

Zębami ze strachu szczękając ekonom, podniósłszy się ze ziemi, stał jak wryty i ani jednego słowa nie mógł przemówić; — Jędrzejka i włodarze zaniemieli także.

— Maryo! droga Maryo! ty przyszła żono moja! czy wielki ból czujesz?

— Jaśnie wielmożny paniczku, o! ja żadnego bólu nie czuję na głowie, — ale tu, tu w środku mnie boli, — i dziewczyna wskazała na serce i rzewnie płakać poczęła.

Prowadzona przez hrabiego Marysia po krótkce ujrzała się w objęciach matki, która, przełęknioma widokiem zranionej jedyniej córki swojej, do Boga tylko o pomoc wołać była zdolną.

Na wieść o tém nadzwyczajném zdarzeniu zbiegła się wieś cała; posłano konnego po ojca Marysi. Pędem strzały stary żołnierz na spienionym siwku przyleciał.

W krótkich wyrazach usłyszał Kapusta z ust Antoniego wszystkie szczegóły objaśniające a dopiero gdy się zapewnił, że rana Marysi niebezpieczną nie jest, tak się do pana hrabiego odezwał:

— Mówisz, panie, że się z córką moją jedyną za naszym rodzicielskiem pozwolenstwem żenić chcesz, a nie myślisz, panie, o tém, że twoja jaśnie wielmożna krewność nie pozwoli na taki twój, panie, ożenek; a gdybyś, panie, i bez pozwolenstwa krewności chciał pojąć naszą jedyną córkę za żonę, czy, panie, myślisz, żebyś ją szczęśliwą uczynił? A jakżeż-by to być mogło, gdy, panie, twoi krewni wytykaliby ją palcami, że ona jest chłopka; — a moja krew jest znów za dobra, aby ją palcami wytykać mieli; — bo ja jestem w wierze katolickiej tak jak i wy, panowie, zrodzony

i wzrosły, przez całe życie podłego uczynku ani razu nie popełniłem; kiej trza było, poszedłem z drugimi do Włochów, do Hiszpanii i wszędzie, gdzie nasz Napoleon rozkazał a starsi zakomenderowali; — i te trzy rany, które otrzymałem w piersi i przez głowę, to mnie lepiej uszanować każą, aniżelibym miał dać jedyną córkę moję na jakieś pańskie wytykanie palcami.

— Józefie! przyszedł teściu mój! przedwiecznego Boga i tych wszystkich obecnych tu ludzi biorę na świadki, że nigdy nie dozwolę, aby żonie mojej krzywda się stać miała, aby ją ktokolwiek bezkarnie palcami wytykał. Jagnięca Wola od dzisiaj jeszcze do mnie należeć będzie; jutro sądownie oddam tę całą wieś dla was wszystkich gospodarzy na równy podział własności, bez żadnego czynszu; przydzielę wam lasu, dodam łąk i pastwisk od granicy Jagodnej, z córką waszą zamieszkać o siedm mil tylko, w Sączynie, w dobrach moich...

Mateusz gospodarz.

— A kaj ja téż oczy zadziałem! (*chwytając za kolana hrabiego*). A toć-że pod jaśnie wielmożnym panem jest moja siostra, co to jest za Wojtkiem Pietruszką na Mysłowie. O przenajświętszy Jezu! — Józefie! adyc schwyćcie jaśnie wielmożnego pana hrabiego za kolana i kiedy żąda waszój córki za żonę, a dajtażeż, dajta! dyć to Sączyn, Kobyle Oko, Mysłów, Gąbino, Paprochy, Drwalewo, Zęby

Wielkie i Zęby Małe, Wilczy Kierz, Sadów i pięć wiosek zarobnych, to wszystko na cztery mile w około do pana hrabiego należy.

Józef Kapusta.

— Kumie! gadacie tak, jak rozumiecie; dla Jantka parobka, żeby się roboty nauczył, a był pocziwy i Bogu i ludziom usługny, najchętniej dałbym córkę moję, bo, co prawda to nie grzech, dawno zmiarkowałem, że się mają k'sobie; tylko mi w myśli pofolgować nie mogło, że to nie jest człek ze wsi, i oto poprawdzie niewiedziałem, kto jest taki; ale żeby ja miał teraz łakomić się na jakowe bogactwa, niech ona lepiej pójdzie za sołtysiaka do Jagodnej, wszakże na jutro swaty przyjąć mają.

Marysia.

— Ojcowie! ja tam nie chcę sołtysiaka.

Matka Agnieszka.

— A kogóżżeś będziesz chcieć?...

Marysia, spoglądając ku Antkowi, łzami się zalała.

Hrabia Antoni.

— W imię Boga przysięgam wam, ojczy i matko Maryi, ja córkę waszą muszę mieć za żonę, albo śmierć moja na waszém ciężyć będzie sumieniu.

Szczepan (*Sołtys z Jagięcej Woli*).

— Kumie! tu żadnej innnej rady nie ma, tylko pokłonić się panu, a jaśnie wielmożny pan oto

niechaj się pokłoni rodzicom swojej przyszłej żony i zaręczenie zrobimy, boć oględziny i zmówiny niepotrzebne.

Gdy dziedzic Jagnięcej Woli, Stanisław, próg chałupy Józefa Kapusty przestąpił, z tkliwą i rzewną radością przez tłum wiejskiego ludu zobaczył, że Józef i Agnieszka łączą ręce klęczących przed niemi kochanków, Antoniego i Maryi.

MALEŃKI DODATEK.

Ślub podług kościelnego obrządku odbył się w dniu drugim Sierpnia tegoż samego roku; weselisko, jakiego nikaj nie widziano, trwało u Kapustów przez cały tydzień; potarzyn u stryjów Marysi było jeszcze trzy dni; na przenosinach w Sączynie toż już i piętów do tańcowania nie starczyło dziewczuchom; szlachcianek jedno nie było, bo się pono ogniście sierdziły, że im takiego bogatego kawalera wej oto wiejska dziewczucha wzięła z przed nosa; — *cóż kiedy piękniejszej jak Marysia Kapusty nikt nigdy przez życie nie widział* i już taką dla niej dolę dał Ojciec Niebieski, za co niech mu będzie chwała, bo i jo podjadłem na tém weselu; a i napitku nikt nie żałował, a i okoliczni biedni ludziska mieli nie tylko długiego czasu ochotę, ale i otrzymali od pana hrabiego wielką zapomogę, nie rzeknąc gospodarzy z Ja-

gnięcej Woli, bo z nich każdemu, jeszcze przed ślubem Marysi wydzielił *jomentra* po sto morgów ziemi co nolépszėj.

— A cóż się téż stało z ekonomem?...

— Dali mu sto talarów i dwie krowy i wygnali do miasta. Pono poganin na spółkę z Herszkiem szynkuje, kiele kołodzieja Żurawy, zaroz za cyrulikiem, naprzeciw Bernadyńskiego kościoła, dyć w Pinkusowém domostwie, co je to łońskiego roku Kiermazińskiemu ze sądu sprzedali.

— A Jędrzejka jest jeszcze w Jagnięcej Woli?

— A kaj ma być?... Maryś uprosili, że gdoś wie przydzielił *jomentra* kawał ogroda, — boć-że Maryś na nikim nie pomstuje i chciałyby każdemu nieba przyczynić.

Niechżeż jēj téż Ojciec Niebieski wszystkim dobrem nagrodzi.

GILSOMINA I REMIGIUSZ.

WIERZYTELNY ODPIS Z ORYGINALNYCH LISTÓW.

Czcigodny i najszanowniejszy Auguście!

Od siedmiu miesięcy nie zgłaszałem się do ciebie, bo się obawiał twojej nagany, twoich zarzutów; dzisiaj u wrót wieczności, odzywam się do twojego serca; — na twojem łonie złożę całe brze-

mię najokropniejszych cierpień, wyleję zdroje czarnej rozpacz, i, zanim stargam słabą ziemskiego żywota nić, od ciebie jeszcze pomocy zażadam.

Już lekki poszmer jutrzeńki na rozległym błękanie jasny zapowiada dzień... jam oka nie zmrużył... przedemną narzędzie śmierci... w sercu żrący i palący ogień, w duszy lód, w głowie szum!... Sto razy drżąca ręka ujęła pióro, aby się z tobą pożegnać... sto razy bezsilna dłoń odrzuciła tę jedyną nad grobem pociechę!...

Auguście! umieram!... samobójczy dotyka mnie cios!... zimne żelazo uderzy w pierś... martwe zwłoki obleje krew!... Auguście! ciemne widma jawią się przed memi oczyma... moje jestestwo grobowy otoczył kir..., kwiat mojej młodości za chwilę snem wiecznym legnie na mogile wspomnień i nadziei... Ty jeden możesz mnie przywołać do życia, słuchaj, w jaki sposób, opowiem.

Przed dwoma tygodniami przybyłem do N. z stałym zamiarem porzucenia mych wad i błędów; — postanowiłem gnuśną bezczynność zamienić w życie pracy i pożytku dla dobra ludzkości!

Różne przedsięwzięcia snuły się przez umysł i po długiej rozwadze zamierzyłem zostać aptekarzem, bo na tej drodze bezpośredniej lekarstwami zdawało mi się, że najskuteczniej wpłynę na ulżenie cierpień ludzkości. Przesady urodzenia odrzuciłem z odwagą i począłem czytać botanikę, chemię; — już umiałem rozróżnić kilkadziesiąt roślin, już poznałem, co jest kwasoród, wiadomości moje

olbrzymim szły naprzód krokiem, gdy w dzień świąteczny dla odpoczynku starganym siłom, bez wyraźnego namysłu udałem się na widowisko sztucznych jeźdźców.

Augustie! nie żądam odemnie wszystkich tajemnic; — powiem ci jedném słowem: ja bez Gilsominy nie mogę żyć! Ona jest panią moich myśli, mojego uczucia, mojego jestestwa!... i ona chce być moją... moją Gilsominą na zawsze!...

Słodki hymen miał nas zawczoraj nierozzerwanym zespolić węzłem: obszerne pole szczęśliwej przyszłości wyciągało ku nam ramiona, rozkosz wabiła nas swoim tchnieniem, miłość w radosną klasnęła dłoń. powietrze napełniło się dla nas różanym obłokiem nadziei, wszystko, ach wszystko! ach wszystko zwiastowało zbawienie!... kiedy srogi Rangifero zażądał niespodzianie od Gilsominy dwóch tysięcy franków za uczyniony mu zawód i tylko po odebraniu téj summy na rozwiązanie jéj kontraktu i na nasze zaślubienie zezwolić chce. — Moja gotowizna składa się z siedmiuset franków; Gilsomina w nadmiarze swoich uczuć ofiarowała wszystkie swoje kosztowności, ale niestety! pomimo, że je ma w upominku od książąt i hrabiów, nie są szczerozłote i zaledwie czterysta franków dostać za nie możemy. Brakuje nam więc dziewięćset franków! Téj summy od Ciebie, Augustie, żądam! i jeżeli mi jéj po upływie piętnastu dni nie przysłesz, — duch mój za zbrodnią samobójstwa na Tobie mścić się, cień mój Ciebie ścigać będzie!

Jutro odchodzi poczta, za dni pięć pismo moje w twoich będzie rękach; cztery dni pozostaną dla Ciebie do zgromadzenia żądanej przezemnie summy, gdybyś jój gotówką w domu nie miał; jeden dzień zostawiam ci na nieprzewidziane wypadki, pięć dni starczy na odwrotną pocztę, więc piętnastego dnia przed zachodem słońca mógłbym być w posiadaniu dziewięciuset franków! ślub nasz mógłby chociaż wieczorem jeszcze nastąpić — Gilsomina byłaby żoną Remigiusza! — Remigiusz byłby mężem Gilsominy!

Auguście! w twoje ręce złożyłem śmierć i życie dwojga kochanków! — Drżysz! jeżeli zdradzisz moje zaufanie! — Na kolanach Gilsomina i ja razem błagamy Cię w imię naszej miłości — nie rozłączaj nas! nie dozwoł, abym krwią moją zbroczył twoje sumienie!

Auguście! ja Tobie zwrócę tę nędzną garść złota, zwrócę ci w najprędszym czasie — każdej chwili kiedy zażadasz, gdyby i jutro i dzisiaj jeszcze, — tylko mnie uratuj od samobójczej śmierci, przed którą lodowacieję z trwogi i rozpacz.

Nie wątpię, że serce twoje zrozumie okropność mojego położenia, że twoja dusza szlachetna pośpieszy na ratunek twojego szkolnego przyjaciela, a nim jest szczerze Cię kochający

Remigiusz.

dnia 23 sierpnia 1841 r.

P. S. Gilsomina przesyła Ci maleńki splot włosów swoich, — naszemu wybawcy pozwala je nosić na sercu.

Tynica pod Radomiem 28 sierpnia 1840 r.

Kochany Remigiuszu!

Za list twój z dnia 23—8—40 zapłaciłem dzisiaj, w dniu moich imienin, złp. 8 g. 22. Zachmużyłeś mi wesołą chwilę, gdyż szczególnie drażliwy jestem na lada jakie wydatki.

Boleję nad twojém położeniem, — przeczuwam, że bez Gilsominy żyć nie możesz; — poznaję to nawet z jej pięknych włosów, które niepotrzebnie w tak znacznej ilości załączyć raczyłeś, zachowam je na pamiątkę; — ale cóż powiesz na to, że ci żądanych dziewięciuset franków nie przysyłam!...

Truchleję na samą myśl, że Ciebie dotknie samobójczy cios, — że zwłoki twoje, kochany Remigiuszu, obleje krew!... Lecz nie ma rady! Kiedy Ci tak marnie ginąć potrzeba, gin ośle! — ja cię ratować nie mam sposobu. Czekam na twojego zapowiedzianego ducha, któren mi zapewne powie, co się też obecnie w piekle nowego stało, Gilsomina gdyby się po twojej śmierci pocieszyć nie mogła, niechaj przyjedzie do Warszawy, — znajdzie i tutaj wielbicieli, bo i naszej stolicy na półgłówkach nie zbywa.

Bywaj zdrow i zawierzaj mi, że się cieszyć będę, gdy się dowiem żeś nie stchórzył, bo w szko-

łach jeszcze oskarżaliśmy Cię, o lęклиwe serce i o brak piątęj klepki w głowie.

Twój dobry znajomy.

Au. Wi.

P. S. Gdybyś jeszcze raz umierać i o takim głupstwie donosić mi chciał, nie zapomnij listu frankować.

Ażeby czytelnika powyższych listów w trwodze o życie Remigiusza i w niepewności o losie kochanków nie zostawiać, upewniam, że Remigiusz zdrów jest i dobrze mu się powodzi; ma nawet nadzieję, że zaślubi panią Miętowicz, aptekarkę, wdowę u której od kilku miesięcy jest prowizorem. Gilsomina rady mojej usłuchała i w Warszawie zrobiła na młodzieży wielkie wrażenie. Obecnie znajduje się w Frankfurcie nad Menem.

D. E. F.

dla pełnoletnich dzieci.

Ktokolwiek nie zna pierwszego oddziału moich Ramot i Ramotek Literackich, winien przede wszystkim pierwszy oddział przeczytać, w przeciwnym razie nietylko, że w postępowych pojęciach pozostanie w tyle, ale nadto bynajmniej nie

zrozumie tego oto dalszego ciągu Ramotki A. B. C. i będzie tylko błądził w najniezdarniejszych domysłach, z kąd mnie przyszło być absolutnym belzebuba panem?... A chociażbym i tutaj objaśnił, że w karczemce pod Siennicą dnia dwudziestego maja tysiąc ósmset czterdziestego pierwszego roku, o godzinie dwunastej z północy, podejrzanego kota mocą zaklęć podług starych ludzi podania w postać naturalnego diabła a następnie w postać ludzką odczarowałem, nie wieleby pomogło, bo należy znać po szczególe wszystko, jak się stało; potrzeba znać dosłownie użyte przezemnie zaklęcia, aby być przekonanym, że rzeczywiście diabeł w moich usługach zostawał i zostaje, — czyli potrzeba A. B. C. z uwagą przeczytać, aby można D. E. F. dokładnie pojąć i zrozumieć.

Z najszanowniejszymi czytelnikami I i II tomu rzecz wcale inna; — dla tych postępowych pań i panów przypomnę tylko, że dwudziestego czerwca tysiąc ósmset czterdziestego pierwszego roku Zbrodniewski, unikając szczegółowego sprawozdania o literaturze warszawskiej, zbył mnie jedynie żarcikami, np. mówiąc, że literatura warszawska ma chusteczkę do nosa z nauk przyrodzonych, ale że to taka biedna, mała chusteczka. Otóż więc gniewnie odezwałem się do niego:

— Słuchaj, biesie! lubię ja niekiedy twoje żarty; ale przecież tyle masz diabelskiego oleju w rogatęj głowiznie, że mnie w takim przedmiocie jak jest literatura krajowa, żartami nie zaspokoisz. — Dla cze-

góz więc jasnej prawdy nie mówisz?... dla czego majaczysz?... Czy chcesz, abym cię święconą wodą ustawicznie kropił?... Czyliż do otwartej szczerości potrzeba cię zawsze srogą męczarnią nakłaniać?...

— Panie dobrodzieju! barbarzyństwem tortur serce szlachetne i umysł ukształcony bezwyjątkowo zawsze pogardzać winny; — dla ciebie, panie, raczej przystoi, abys mnie swoją łaską i dobrocią pokonał.

— Mości Mephistophelesie! czyn ze swojej strony po temu, abys był godnym mojej łaski i dobroci.

— Za to, żeś mi, panie, odjął najwyższe dobro na świecie, ja mam pochlebiać się do twojej łaski i dobroci?... Nie! tak przewrotnej logiki nawet w piekle nie znamy. Czyliż to nie twoim jest, panie, wyłącznym obowiązkiem starać się o osłodzenie mojej niedoli?...

— Miałbyś najwyraźniejszą w tej mierze sprawiedliwość, gdybyś do niewinnie cierpiących należał; ale na twoje nieszczęście sprawa Lucypera, której się poświęcasz, jest zupełnie innego rodzaju. Nie mniej przeto nie stawiaj moim rozkazom oporu; odpowiadaj na moje zapytania jedną i szczerą prawdę a znajdziesz mnie zawsze i łagodnym i łaskawym.

— O cóż panu dobrodziejowi idzie?... o tę warszawską literaturę?... A toćże Wiszniewski w Krakowie pisze historią literatury polskiej, tam więc o warszawskiej znajdziesz, panie, wszystko, czego

żadasz: — i zaprawdę Wiszniewskiemu należy się prawdziwa cześć od jego ziomków za tę tak olbrzymią, a pomijając drobniejsze usterki, nieskończenie pożyteczną pracę.

— W téj mierze zgadzam się z tobą najzupełniej; tylko że czci najgodniejszy Wiszniewski tak rozległej pracy nie prędko dokończy, a i cena tyle obszernego dzieła nie każdemu będzie przystępna.

— Maleńka w rozlicznych zbytkach oszczędność wystarczy na kupno chociażby najdroższego dzieła; a jestże ciekawsze i więcej pouczające dzieło nad historią oświaty ojczystego kraju?... Dla kogoby zaś dzieło Wiszniewskiego było zbyt obszerném lub zbyt drogiem, niechaj nabędzie Historią literatury polskiej w zarysach, tomów cztery, którą do druku przygotował i pokrótce wyda Kazimierz Władysław Wójcicki, rzeczy ojczystych dobrze świadomy i sumienny pisarz. Ta praca jako dzieło podręczne dla uczącej się młodzieży i nawet dla bardzo wielu ludzi, którzy się niestety uczyć przestali, znakomite przyniesie korzyści ¹⁾

— Czemuż ty, brysiu, zawsze tak szczeréj nie objawiasz sprawy?...

1) Historii literatury polskiej w zarysach przez Kazimierza Wł. Wójcickiego obecnie wyszło już tomów trzy, po cenie nader umiarkowanej, tom czwarty wyjdzie w miesiącu lutym 1846 roku. Wacław Aleksander Maciejowski wygotował do druku 3 tomy Historii literatury polskiej,

— Ale bo ja téż nie chcę pana dobrodzieja nudzić ustawiczném mówieniem prawdy; przecież pan dobrodziej pamięta owo Łacinników przysłowie: „*varietas delectat*“, właśnie więc dla rozweselenia pana dobrodzieja czasami pożartuję i kłamię, lecz nigdy w tej myśli, abym miał zamiar mego dobrodzieja rozgniewać.

— Już to tobie na wykrętach nie zabraknie. Dziękuję ci za chęć rozweselenia mnie, jednakże mieć pragnę i rozkazuję ci, abys nigdy nie kłamał.

— Co się téż panu dobrodziejowi uwidziało, aby diabeł zawsze prawdę mówił, kiedy dzisiaj świat cały, bo niemal od dziecka z kolebki aż do starca nad grobem stojącego każdy i słowem i czynem majaczy, kłamię i łże; — a człowiek rozsądny kieruje mowę swoją do okoliczności i osobistych widoków.

najbogatszej w nieznane dotąd szczegóły. Dominik Szulc pracuje także nad historią literatury polskiej i w Przeglądzie Naukowym umieścił wyborowy artykuł: *Rozwój zasad umysłu polskiego w piśmiennictwie*. Hippolit Skimborowicz wyda w bieżącym roku w dwóch tomach: Dzieje literatury polskiej w dziewiętnastym wieku. Kto się więc teraz historyi literatury nie nauczy, to już chyba czytać nie umie albo do najniegodniejszych leniwców należy. A wszakżesz już i poprzednio dziekan uniwersytetu warszawskiego Feliks Bentkowski, przeacny Lesław Łukasiewicz, jenialny Maurycy, a w roku przeszłym i były redaktor Przeglądu naukowego historią literatury polskiej napisali.

— Za to, coś powiedział, wart jesteś; aby cię pokropić.

— Za to, żem prawdę powiedział?...

— Żeś wyrzekł łgę i potwarz.

— Otóż dzisiejszój nocy jeszcze przygotuję dla kochanego pana w złoto oprawne okulary z mojego własnego warsztatu. Jutro założysz je, dobrodzieju, na nos, a przez te okulary dopiero będziesz mógł czytać w głowie i w sercu każdego człowieka, co czuje i co myśli; a gdy aby jeden z tych wszystkich ludzi, z którymi przez trzy dni rozmawiać będziemy, żadnego uczucia lub żadnej myśli nie skłamię, natenczas nietylko, że się wyrzeknę Lucypera i wszystkich spraw jego, ale nadto natychmiast wstąpię do Kapucynów i będę wiódł najpowściągliwsze życie na ziemi.

— Naprzód już winszuję ci tak cudownej przemiany i gotów jestem dzisiaj jeszcze zamówić dla ciebie habit.

— Niech sobie pan. dobrodziej daremnego wydatku nie czyni.

— Czy ty myślisz, że ja ci potwarz puszcze na sucho i że cię w habit ubrać nie potrafię?...

— E! panie dobrodzieju! już ja nieraz przebrałem się w habit. — Ale nie o to idzie, abym się tylko przebrał; ja rzeczywistym, to jest istotnie świątobliwym zostanę mnichem, jeżeli pan dobrodziej chociaż jednego znajdziesz człowieka, któryby we wszystkiém bezwarunkową prawdę ogłaszał.

— Cóż ty, biesie, prawdą bezwarunkową nazywasz?... Bo prawda jest Bogiem, Bóg jest prawdą! Jeżeli więc doskonałość pojąć...

— Nie, nie, panie dobrodzieju! tak głęboko nie sięgam. Ja żądam tylko, aby każdy mówił to, co jest jego rzeczywistym przekonaniem, co on za prawdę w duszy swojej przyjął; — bo że Bóg ziarno prawdy rzucił w istnienie każdego człowieka, to jest rzeczą niewątpliwą. Ale o ile człowiek to ziarno pielęgnuje i do wzrostu w sobie samym uprawia, a o ile go zaniedbuje, ponieważ i niem gardzi, w tém leży cała miara jego wartości i na téj skali ceni się ludzka prawda lub kłamstwo.

— Właśnie podług tejże samej zasady jutro sądzić będę; — zrób tylko, belzebubie, okulary przez którebym mógł każdą myśl i każde uczucie w prawdziwém świetle obejrzyć.

— Nie tylko zrobię, ale je jeszcze kochanemu panu w upominku na wieczną oddam własność.

— Bardzoś grzeczny.

— A! już to ja, panie dobrodzieju! jak jestem dla kogo szczerzy to szczerzy.

— Więc tak bez żadnego interesu chcesz mnie obdarować?...

— Przecież pan dobrodziej wiesz, że za te okulary mam odzyskać wolność osobistą.

— Tego nie przyrzekałem; lecz zrób tylko okulary a już osądzę, czyś na tak wielką nagrodę zasłużył.

— Szlachetny sposób myślenia pana dobrodzieja jest dla mnie najpewniejszą pomyślnego skutku rękojmią.

— Powiedz mi téż nawiasem, dla czego ty się tak silnie odemnie wydzierasz? — Masz co jeść, masz co pić, kupiłem ci zawczoraj najmodniejszy *rajtrok*, daję ci i pieniędzy na drobniejsze potrzeby, rozpościeram nad tobą opiekę, i czegoż ci jeszcze brakuje?...

— Alboż ja to jestem bezmyślném stworzeniem, dla któregoby jadło i napój za życie starczyły? — Nie urągaj, panie, mojej boleści... patrz, co się w mém sercu dzieje i miej litość nademną.

Belzebub się rozbeczał i łzy pazurami obcierając, tak smutną przybrał postawę, że i mnie się na żalność zebrało; dla tego obawiając się, aby mnie nie zmiękczył, oddaliłem się do sypialnego pokoju, tę mu tylko dając potuchę:

— Przestań się kwilić, raczój pracuj, gdyż tylko na téj drodze celu swojego dojść możesz.

Wychodząc widziałem, że bies wyjmując z kieszeni diamentowe kowadło, świecę zadmuchał.

Warszawa, dnia 21 czerwca 1841 r.

o 12-tój z północy.

Gdym dzisiaj o ósmój godzinie rano wszedł do pokoju Edwina, zastałem go siedzącego naprzeciw zwierciadła; — gorącym żelazkiem zawijał loki na swój diabelskiej głowiznie,

— Czy ty znów chcesz jaką, błazeńską rolę odgrywać?...

— Nie! panie dobrodzieju!

— Dla czegoż więc głowę swoją w pudli łeb zamieniasz?...

— Minęły już czasy, kiedy nieschludność była znamieniem wielkiego myśliciela; dzisiaj bardzo rozgłośni filozofowie noszą sukienki podług najnowszej mody, a nawet przyjmują tytuły najnie-filozoficzniejsze.

— Ubranie się w suknie najnowszego kroju, gdy ten krój dogodniejszym się okaże, jest dla każdego właściwem; ale nie pokażesz mi dzisiaj znakomitego męża, któryby głowę, siedlisko rozumu, sztucznymi kółkami błaznić sobie dozwolił; i kiedy widzę na młodym czerepie takie o kółkach staranie, zawsze się lituję nad jego umysłowem kalectwem.

— A jak pan dobrodziej byłeś młodym, nigdy loczków nie zawijałeś na głowie?...

— Nigdy.

— Od czegoż pan wyłysiał?...

— Od rozumu, belzebubie! Czy nie słyszałeś, że głupie głowy nigdy nie łysieją.

— Ja słyszałem, że mądre włosy z głupiej głowy uciekają.

— Spiriantus!...

— Przepraszam pana dobrodzieja! Ja tylko ośmieliłem się podrażnić kochanego pana.

— Ja ciebie podrażnię!... A cóż, zrobiłeś okulary?...

— Zrobiłem, jasnie panie, i udały mi się prze-wybornie. Oto są na dni trzy do usługi pańskiej.

— Czy tylko oczom nie zaszkodzą?... Tyś go-tów mnie wzroku pozbawić.

— A przecież jestem w mocy mojego dobro-dzieja; mógłbyś mnie, panie, karać bez miary. Wreszcie żebym...

— Nie przysięgaj! Już ja ci wierzę, że nie chciałbyś się narazić na mój gniew nieprzebłagany. Ale te twoje okulary trochę mnie cisną za uszami.

— Można bawełną, albo jedwabiem owinać.

— Mniejsza o to; ubieraj się, zaraz pójdziemy na miasto.

Ledwo żeśmy wyszli na ulicę, spotkałem zna-nego mi chłopczyka.

— Edzio! dla czego nie poszedłeś dzisiaj do klasy?

— Ja właśnie idę do klasy.

— Tak późno?

— Dziś dopiero o 10-tój przyjść nam kazali, bo panowie profesorowie mieli być na jakiś sesyi.

Rzuciwszy na Edzia lekkie przez okulary spoj-rzenie, odrzekłem mu z powagą:

— Kłamstwo jest tak wielkim błędem, że po największej części do występków prowadzi! Za marymontskie rogatki nie zdążaj, — wyciągnij pod kamizelką ukryte kajety i ruszaj natychmiast do

szkoły, w przeciwnym razie powiem twojemu ojcu, aby cię przykładnie ukarał

Jeszcze przełęczniony Edzio z oczu naszych nie zniknął a Zbrodniewski z radości, że mu się okulary udały, rączki zacierał i cieszył się nadzwyczajnie, gdy na ulicy Królewskiej zabiegł mi drogę pan Telesfor Sztopnicki.

Telesfor. A! jak się pan miewasz?... dawno już pana Augustyna dobrodzieja nie widziałem. — Gdzie się pan kryjesz?... ani widnąć w salonach — cóż pan robisz?...

Ja. Zdrow jestem, moje zatrudnienia są nieodmienne; — ale jakżeż się panu Telesforowi powodzi?...

Telesfor. Jam i niebardzo zdrow, za wiele pracuję, za wiele piszę i czytam. W tych dniach zamierzam wyjechać do Sztokholmu, potrzeba mi bowiem zajrzeć do rękopisów Jana Zamojskiego, które Szwedzi podczas drugiego na Polskę napadu ze sobą uwieźli.

Okulary. Od sześciu miesięcy pióra nie wziął do ręki; prócz 4 tomów francuskiego romansu, jak zwykle w lichém tłumaczeniu, nic zgoła nie czytał. Scigany przez wierzycieli, czmycha do wujaszka w Podlaskie.

Ja. A kiedyż mnie pan na ślub zaprosisz?...

Telesfor. Jeszcze się nie zdecydowałem. Panna mi sprzyja, rodzice pragną, abym się oświadczył; — cóż, kiedy o posagu ani słowa nie mówią, a ja, prostą idąc drogą, bez 50,000 dukatów hrabianki

nie wezmę; mam wprawdzie z łaski Boga szlachecką fortunę, która mi 30,000 złp. czystego dochodu przynosi, ale to zaledwie na kawalerskie starczy potrzeby, nie rzeknąc, że mnie same książki 10,000 złp. do roku kosztują!

Okulary. Raz tylko na teatrze widział hrabiankę, panna go wcale nie zna, rodzice nie wiedzą, że Telesfor Sztopnicki żyje na świecie; stałych dochodów nie ma, książek nie kupuje.

Ja. Trzydzieści tysięcy złp.! czystego dochodu, rzecz nie małej wagi.

Telesfor. Ze śmiercią mojego starego spodziewam się mieć rocznie do stu tysięcy.

Ja. Dobra ojca pańskiego w którym leżą powiecie?...

Telesfor. Nasz familijny majątek jest częściowo za Grodnem, a częściowo na Podolu.

Okulary. Ani jednej żerdzi nie mają.

Ja. I dokądże pan zdążasz w tej chwili?...

Telesfor (z uśmiechem). Mam małeńkie *rendez vous*, — tajemnica mojego serca.

Okulary. Biegnie do ciotki z błagalną prośbą o pożyczanie dwudziestu złp., gdyż nie ma za co obuwia wykupić.

Ja. Już to, jak widzę, że z pana Telesfora wieczny Lovelace. Nie przeszkadzam, — życzę pomyślnego skutku, — bo obuwie na bruku bardzo potrzebne.

Po samą czuprynę zarumienił się Telesfor, jam go uśmiechem litości pożegnał.

Na Saskim placu spotkalismy pana Szelążkiewicza, — szedł w zamyśleniu i kroki swoje do Saskiego ogrodu kierował.

Ja. Dzień dobry panu Szelążkiewiczowi!

Szelążkiewicz. Upada się do nóżek pana dobrodzieja.

Ja. Pan idziesz do ogrodu świeższego zażywać powietrza?

Szelążkiewicz. Tak jest, mości dobrodzieju; — człowiek znękany niesprawiedliwością ludzi pragnie chociaż w ogrodzie chwil kilka odetchnąć.

Ja. A któż to pocziwemu panu niesprawiedliwość wyrządził?

Szelążkiewicz. Kto chce to i wyrządzi.

Pożyczyłem panu Erazmowi 300 czerwonych złotych, od roku ani kapitału ani procentu nie płaci.

Okulary. Odebrał od marnotrawnego Erazma przekaz 14,000 złp. na najpewniejszą hipotekę dóbr ziemskich.

Ja. I żadnej, panie, nie masz nadziei odbioru tych trzystu czerwonych złotych.

Szelążkiewicz. Właściwie mówiąc, jest i jakaś nadzieja; ale ja, łaskawy dobrodzieju, dając ostatni grosik mój, nie spodziewałem się mieć tyle kłopotów a może i straty.

Okulary. Stary lichwiarz kłamię, bo to nie jest jego grosz ostatni; ma on bowiem 150,000 złp. w Listach zastawnych, 90,000 w klejnotach, na które pożyczył $\frac{1}{4}$ część wartości, i 230,000 na

hipotekach dóbr ziemskich i domów warszawskich; prócz tego jest w posiadaniu kilkunastu weksli osób pewnych, od których bierze po 2 procent na miesiąc.

Zbrodniewski do Szelażkiewicza. Czy pan dobrodziej nie miałeś dawniej interesu z panem baronem Foch?...

Szelażkiewicz. Z panem baronem Foch?... Miałem, miałem. — Niech mu Pan Bóg nie pamięta. Wiele mnie zdrowia ten pan baron kosztuje.

Okulary. Wydarł mu resztę zaszarganego majątku, zyskał na baronie 60,000 złp.

Zbrodniewski. Baron Foch mile pana dobrodzieja wspomina.

Okulary. Foch Szelażkiewicza na dno piekła przeklina.

Szelażkiewicz. Już to bo i właściwie pan baron dobre ma serce, a i nie zaszła żadna przyczyna, aby na mnie narzekać mógł; — rozstaliśmy się w zgodzie, podarowałem mu nawet 13 złp. kosztów sądowych.

Okulary. Śliczny z ciebie dobroczyńca! Niech Pan Bóg każdego broni od takich podarków.

Ja. Wybieram się do pana dobrodzieja także z małą prośbą.

Szelażkiewicz. W czémżeż mogę być łaskawemu panu usłużnym?...

Ja. Potrzebuję 6,000 złp.

Szelażkiewicz. Z miłą chęcią wygodziłbym panu mojemu, ale żeby tylko pan Erazm uiścić się chciał.

Okulary. Na jakąż to pewność, — hipoteka, srebra czy brylanty?...

Ja. Dam panu dobrodziejowi oblig urzędowy.

Szelążkiewicz. Dla pana dobrodzieja dałbym i bez obligu, bez rewersu, ale Bóg świadkiem moim, że teraz jestem bez grosza, chybaby po Bożém Narodzeniu.

Ja. Zadługo czekać, mój mości Szelążkiewicz; nie mógłbyś, dobrodzieju, przyspieszyć? — dam pewność hipoteczną, mam i nieco niepotrzebnych mi kosztowności.

Okulary. Serce lichwiarza febry z radości dostało.

Szelążkiewicz. Kiedy kosztowności są niepotrzebne, to się panisko nie będzie spieszyło z odbiorem; ale mniejszaby tam było i to, lecz właściwie mówiąc, nie mam ja własnych pieniędzy, chybabym się postarał...

Ja. Bądźżeż więc pan dobrodziej łaskaw pomyśleć o tym interesie i przy wolniejszym czasie racz mnie odwiedzić.

Szelążkiewicz. A możebym dzisiaj w poobiedniej godzinie złożył panu dobrodziejowi moje uszanowanie?

Ja. Dzisiaj jestem na cały dzień zamówiony, ale jutro oczekiwać pana będę o dziewiątej zrana.

Szelążkiewicz. Służyć nie omieszkam i wszelkiego dołożę starania, abym szanownemu panu pomocnym być mógł.

Okulary. Abym najnieuczciwszą korzyść wyciągnął.

Z pogardą odwróciwszy oczy moje od starca lichwiarza, spostrzegłem dwie naprzeciw mnie idące panie, z którymi niedawno w domu moich krewnych miłą zrobiłem znajomość, a więc biegnę, witam i o zdrowie zapytuję.

Pani S... Jesteśmy zdrowe i bardzo nam przyjemno, że pana widzimy. Pan obiecałeś nas wczoraj odwiedzić?...

Okulary. Pocóż nam drogę zachodzisz — spieszmy do magazynu mód — czegoż nas dręczysz swoją grzecznością?

Pani Z... To się niegodzi niedotrzymać słowa; wczoraj spodziewałyśmy się pana z pewnością.

Okulary. Były w teatrze, twoja *facyata* ani im na myśl nie przyszła.

Ja. Przyjazd do Warszawy jednego z moich dawnych znajomych, którego mam zaszczyt paniom przedstawić, — Pan Zbrodniewski, — nie dozwolił mi służenia paniom.

(Zbrodniewski się kłania z wielkim umileniem pyszczką swojego).

Pani Z... Przepraszamy, żeśmy pana posądziły o niegrzeczność...

Okulary. Cóż to za prześliczny młodzieniec!

Pani S... Ależ pan może nam pokrótce nagrodzisz dzień wczorajszy?

Ja. Po odjeździe pana Zbrodniewskiego służyć paniom nie omieszka.

Pani Z... Bardzo proszę, bardzo proszę.

Okulary. Kiedy się nie domyślasz, że bliższe zapoznanie nas z twoim młodym przyjacielem byłoby dla nas prawdziwą grzecznością, to też nie potrzebujesz się spieszyć z twojemi odwiedzinami.

Ja. Ale ja paniom drogi czas zabieram; panie zapewne idą do magazynu mód, zkad tak piękne wyglądają kapotki i stroiki.

Pani S... Więc nas pan za tak maluczkie osądzasz, że mogłybyśmy przenosić kapotki i stroiki nad miłą z uprzejmym literatem rozmowę?

Okulary. Śliczny chłopiec ten jego znajomy.

Ja. Wdzięczny jestem pani za pochlebne wyrażenie, niemniej przeżo drogiego czasu paniom dłużej nie zabieram i mam honor panie pożegnać.

Pani Z... Przypominamy obietnicę...

Nastąpiły ukłony, umilenie usteczek, wyrazy: *adieu, adieu, au plaisir de vous revoir*. Piękne koteczki pobiegły do magazynu mód, jam ze Zbrodniewskim dalej wędrował.

Wchodząc na ulicę Wierzbową, spotkaliśmy świetny orszak pogrzebowy: za trumną postępowało grono dzieci, w grubą żałobę przybranych. Na widok dzieci w żałobie zdjąłem co prędzej okulary z nosa i schowałem je do kieszeni, lękałem się bowiem, abym nie dostrzegł znieważenia świętego względem rodziców uczucia. — Zbrodniewski naglił mnie, abym ten pogrzeb koniecznie przez okulary obejrzał; odmówiłem mu stanowczo, zapytał więc złośliwie:

— Proszę pana dobrodzieja, dla czego oni za dnia tyle gorejącego światła niosą przed trumną i przy trumnie?

— Dla uczczenia pamięci zmarłego.

— Ja rozumiałem, że oni mu dla tego przyświecają, żeby na cmentarz trafić mógł.

— Głupis z twoim dowcipem; jesteś biesem, więc nie rozumiesz prawdziwego znaczenia używanych przez nas obrządków.

— (*Z urąganiem:*) Być może, że i nie rozumiem, ale się domyślam, dla czego pan dobrodziej okulary schował. Ja panu dobrodziejowi bez okularów opowiem. Ten świetny pogrzeb jest kłamstwem, gdyż nieboszczyk był łotrem; on przez całe życie ani jednego obowiązku względem bliźnich nie wypełnił uczciwie.

— Milcz! albo zawołam chłopca, aby cię uderzył tym krzyżem, który niesie przed księżmi.

Zgrzytnął diabeł zębami, oczy spuścił na ziemię i tylko sobie coś mruczał pod nosem. Minął nas orszak pogrzebowy, udaliśmy się na ulicę Trębacką i zamierzyłem wstąpić do bióra informacyjnego pana Aloizego de Mogiła Stankiewicza, gdy mnie ktoś lekko za rękę uchwycił; — obracam się, był to lokaj w liberyi herbowej.

— Przepraszam jaśnie pana, mój pan prosi jaśnie pana, żeby jaśnie pan był łaskaw wstąpić do mojego pana.

— A któż jest twój pan?...

— Ja jestem od pana hrabiego Bączyńskiego.

— Od pana Apolinarego?...

— Tak jest, jaśnie panie.

— Dawnożście przyjechali do Warszawy?...

— My tu już jesteśmy od tygodnia; ja dwa razy chodziłem do jaśnie pana, alem jaśnie pana nigdy nie zastał.

Okulary. Nie był ani razu.

— Gdzież stoicie?...

— Tu w Rzymskim hotelu; właśnie mój pan zobaczył jaśnie pana przez okno.

— Dobrze, mój ciemny panie, idę do twego jaśnie pana.

— Na wschodach przyjął mnie Apolinary szczerym uściskiem.

W pokoju przedstawiłem mu Żbrodniewskiego, usiedliśmy na kanapie, podano sygara po gr. poł, 16. Żbrodniesio ugryzł końce od trzech sygar i rzucił na ziemię, dopiero czwarte *zdawało mu się że będzie dobre.*

— Cóż ty, kochany Apolo, w Warszawie porabiasz? Podobno już od tygodnia gościsz w murach naszej stolicy.

— Przyjechałem za procesem i chciałbym na mój majątek skarbową zaciągnąć pożyczkę.

— Procesujesz się i skarbową zaciągasz pożyczkę a mieszkasz jak książę? Ileż tu płacisz?...

— *Na honor* nie pytałem się; zdaje mi się, że nie więcej jak 24 złp. dziennie.

Żbrodniewski. Trzy pokoje z przedpokojem wcale nie drogo.

Ja. Z kimże i o co się procesujesz?...

Apolinary. Z moim ojczymem o 150,000 złp.

Okulary. Podziel przez 3, odejm 10, będziesz miał 40 — potrać 27,000 wybranych za kwitami, pozostanie 13,000, które Abraham, dając 4,000 złp. i dwie angliczowane klacze, na własność swoją nabył i do hipoteki zapisał.

Ja. I któregoż masz mecenasów?...

Apolinary. Mam ich aż pięciu.

Okulary. Ani jednego.

Ja. Pięciu mecenasów! to nie żarty! Musiałaby sprawiedliwość mieć uszy chyba dębowymi kołkami zabite, gdybyś sprawę swoją przegrać miał.

Apolinary. Przegrać słowo honoru mogę. A cóż to nie znasz mojego ojczyma?... Tylko że trafił swój na swego, i słowo honoru ja także wiem, kiedy mi trawa pod nogami rośnie. — Ależ *a propos*, nie wiesz tu o kim w Warszawie, co by mi 500 dukatów na 2 miesiące pożyczył?

Ja. Obecnie nie mam takich znajomości.

Zbrodniewski. A pan Szelażkiewicz?...

Apolinary. Szelażkiewicz?...

Zbrodniewski. Maleńki, zawiędły, mieszka na Grzybowie.

Apolinary. Przypominam sobie; — ale ja z tym starym trochę na bakier.

Okulary. Zahipotekował na mojej wiosce 25,000 złp., dłużny mu jestem dwuletnie procenta; stara się o wywłaszczenie Pałęczin.

Zbrodniewski. To ja tu znam jeszcze jednego pocziwca, który jest na moje rozkazy; — niejakis pan Hab'sfeld von Butterling, człowiek bardzo uczynny i trudniący się *con amore* wypożyczaniem pieniędzy.

Apolinary. *Bien obligé* Mr. *Zbrodniewski*, bardzo mnie pan dobrodziej obowiązujesz swoją grzecznością, słowo *honoru* oddam na termin, wielką mi pan zrobisz uczynność. *Vraiment* nie wiem, jak mam mojemu panu podziękować. — Czy pan dobrodziej nie masz familii na Wołyniu?

Zbrodniewski. Litwa, Wołyń, Podole, Ukraina, panie! to wszystko moje gniazdowe strony, i tam to właśnie mam kilka tysięcy dusz mojego własnego majątku.

Okulary. Diabeł prawdę powiedział.

Apolinary. Bardzo, bardzo mi przyjemnie, że z panem hrabią miłą zrobiłem znajomość... Auguście! czy nie bylibyście panowie łaskawi odwiedzić mnie wieczorem; będę miał u siebie kilku z młodzieży, zrobimy partyjkę.

Okulary. Chce ograć *Zbrodniewskiego*.

Ja. Przepraszam cię mój *Apolo*, ale dzisiaj służyć ci nie mogę.

Apolinary. Ale *a propos* może panowie pozwolą małeńkie u *Francuza* śniadanko?...

Ja. *Apolinku!* schowajmy na inny raz.

Apolinary. Guciu! słowo *honoru* będę się gniewał! Ja tak szczęśliwy, że cię zobaczył, że tyle miłą zrobiłem z panem *Zbrodniewskim* znajomość...

Okulary. Zbrodniewski mówił, że kapitalista Butterling jest na jego rozkazy, mógłby nawet za mnie poręczyć; koniecznie trzeba serdeczną z nim zawrzeć przyjaźń, spoić, do wdzięczności zobowiązać.

Ja. Jeżeli już koniecznie...

Apolinary. *Słowo honoru* że mi wielką wyświadczysz łaskę; ty nie wiesz, Guciu, jak ja ciebie kocham!

Okulary. Zdaje mi się, że on tego pana Zbrodniewskiego pod szczególną trzyma opieką.

Ja. Tylko cię uprzedzam, że ja wiele pić nie mogę.

Okulary. Jeszcześ, dobrodzieju, nigdy za kołnierz nie wylał.

Ja do Zbrodniewskiego (na stronie). Twoje okulary lubią żartować.

Zbrodniewski najciszej (do ucha). Jak Lucypera kocham, że nigdy nie kłamię.

Apolinary (wciskając ciasne rękawiczki i biorąc kapelusz) A więc służę najłaskawszym panom.

Ponieważ pan Apolinary, jak twierdził, jest z Marym cokolwiek na bakier (*winien mu 740 złp.*), udaliśmy się przeto do Michaux'ta na Krakowskie Przedmieście.

Siedm godzin upłynęło przy śniadaniu, zastaliśmy bowiem u Francuza wielu znajomych; nasze towarzystwo urosło do liczby trzynastu, a oprócz naszego towarzystwa było jeszcze mniejszych i większych ośmnaście innych towarzystw, nie licząc osób pojedynczych. Talerzniki, których z fran-

cuzkiego *garsonami* nazwano, nie mogli nastarczyć usługi; — szampan i tylko szampan lał się potokiem, wykwinnych potraw i przysmaczków zupełnie przybrało, i kto twierdzi, że u nas są ciężkie czasy, winienby zwiedzić restauracye francuzkie. Zbrodniewski był w brylantowym humorze; moje okulary na wszystkie strony prostując fałsz i kłamstwo, z usilnością zwracały moję uwagę ku ubocznym stoliczkom, przy których pewne strony z pewnemi stronami układały się o bieg interesów; w oddzielnych pokoikach szaloną częstacyą starzy swawolnicy usiłowali zapewnić sobie chwilowe względy pięknych twarzyczek, a wszędzie dobry ton objawiany mową francuzką, — wszystko szumno, huczno, głośno, wszystkiego obficie, a wszędzie *radość i weselość...*

O ile kawiarnie warszawskie są dla kilku tysięcy uboższej młodzieży codzienném polem najniegodniejszego próżniactwa, o tyle francuskie restauracye najskuteczniej dopomagają naszym paniczom do sybarytyckiego życia i marnotrawstwa bez miary. Zapłacić trzysta, czterysta i pięćset złp. za śniadanie dla dwóch, trzech osób, jest w naszych francuzkich restauracyach rzeczą tak bardzo zwyczajną, że garsony z uśmiechem pogardy patrzą na tych, którzy za kilka złotych posilić się pragną.

Przy końcu tej bahandryi celem oczyszczenia moich okularów, bo kłamstwo i dym zagranicznych sygar zanadto je ściemniły, wyszedłem na balkon;

patrząc na przeciwległy dom Towarzystwa Dobroczynności, pomyślałem:

«Iluż tu znów z tych paniczów, którzy dzisiaj tak zbytkownie płacą śniadania, szukać będzie kawałka razowego chleba w tym przytułku ubóstwa i nędzy.

«Znam w Warszawie bardzo wiele osób, które poczytałyby za hańbę nakarmić się w polskiej garkuchni, — które twierdzą i dowodzą, że bez francuzkich restauracyj żyćby nie mogły, — a pomiędzy temi osobami jest kilku ichmościów, którzy dochody swoje opierają na najbrudniejszej podłości. Ubiór żurnalowy, wykwintne jedzenie, wizytowanie dam *du haut parage*, francuzkie romanse wydania bruxelskiego, sygara hawańskie, znajomość w balecie, — oto są żywioły tych pasożytników, snujących się po wszystkich salonach, nadających ton stolicy; dumnie spoglądających na klasę pracującą, na ludzi czynu, zasługi cnoty».

Już była godzina 6 z południa, gdyśmy wyszli z restauracyi francuzkiej; że zaś postanowiłem ten pierwszy dzień poświęcić przyjrzeniu się przez okulary tak nazwaną wyższą klasie naszego społeczeństwa, dzień drugi klasie średniej, a dzień trzeci ubogim rzemieślnikom i wyrobnikom, a więc biorąc ze sobą Zbrodniewskiego i starannie sadowiąc na nos okulary, pospieszyłem z wizytami do... do... do... do... do... do... Jakoż w tych wszystkich miejscach byłem po trzy pełna kwadranse, i byłoby może jeszcze czasu starczyło na wizytę

siódmą, ale już przy szóstej obydwą szkiełka pę-
kły w moich okularach. Nad wszelki wyraz szczę-
śliwy Zbrodniewski, gdy ja ten dziennik spisuję,
w przyległym pokoju puka młoteczkiem, nowe fa-
brykując szkiełka.

Wymienić wszystek fałsz i wszystkie kłamstwa,
które na tych sześciu wizytach poznałem, prze-
chodzi zakres mojego dziennika, o tém należałoby
księgi spisywać; — zresztą, któż też może się
spodziewać znaleźć prawdę tam, gdzie przeszlufo-
wane udelikatnienie, to jest obłudę za powinność,
pochlebstwo za obowiązek poczytują; gdzie otwar-
tość nazwanoby najśmieszniejszym głupstwem, szcze-
rość umysłowem ograniczeniem, a jawność uczuć
manierą karczemną; — gdzie udatne zamaskowa-
nie się jest porządkiem dziennym, istotą ich ży-
cia — niemal że nie cnotą.

Szych na kołnierzach liberyi, brązy w poko-
jach, w ustach ludzkość i religia, w sercu brud,
w duszy nikczemność, w umyśle nakoniec grube
niepojęcie przeznaczenia naszego, — oto jest mniej
więcej całość tego, com dzisiaj na sześciu wizy-
tach przez moje okulary zobaczył. — Szczegółów
nie wyliczę, boby się jeszcze ktoś rozdąsany przy-
znał do swoich fatalności i gotówby się pokusić
do najhaniebniejszego kroku, — niestety! tak bar-
dzo u nas praktykowanego.

Jutro i pojutrze zwiedzając klasy średnie i naj-
niższe, będę wyraźniejszym.

(ciąg dalszy w tomie szóstym).

TRUDNO UWIERZYĆ

A JEDNAKŻE I TRUDNO NIE WIERZYĆ.

Są dziwy, o których się naszym filozofom nigdy nie śniło.

Już od godziny pan Alfred Bronisławski, niemieckiego uniwersytetu uczeń, rozprawiał i dowodził, że czasy grubiej niewiadomości minęły, że dzieła boskie stały się dla człowieka jasne i najzupełniej zrozumiałe; i począł wykladać, że dusza po śmierci pojedynczego człowieka powraca na łono ducha ogólnego, — że życie dziecięcia jest siłą ujemną, ogólnego ducha siłą dodatnią, że ten duch ogólny dostateczną liczbą śmierci osób pojedynczych za pewnym czasem dozupełniony, stanie się A pomnożonem przez A , czyli potęgą doskonałości duchowej i na niebieskim zasiądzie *stolcu*¹⁾ i już nieodwołalnie światu panować będzie, itd. itd. Pan Alfred mówił z takim zapałem, z tak dobitnem przekonaniem, z tak głęboką nauką i mądrością, że w liczнім gronie obecnych najzgodniejsze panowało milczenie, — gdy przy kominkowym ogniu siedzący, z ukosa na pana Alfreda patrzący się dziedzic Lissówki, pan Hiacynt Szpakowski, obywatel w wieku podeszłym, wyjąwszy króciuchną z ust fajeczkę, powstał i z udaną odezwał się grzecznością.

¹⁾ Wyraz starodawny, oznaczający krzesło tronowe.

— Zbudowałeś nas, panie Alfredzie, swoim świeżym i jasnym rozumem, słuchaliśmy cię z uwagą, pozwól, że cię teraz o małeńkie spytam objaśnienie; — racz mnie łaskawie posłuchać.

Było to, panie dobrodzieju, pod jesień; wybrałem się w pole do siewu pszenicy i jako do myśliwstwa nazwyczajony, wziąłem z sobą smycz chartów. — Jadąc stępem przez wieś, spostrzegłem kobietę, załamującą ręce i zanoszącą się od płaczu; na jej twarzy była wyrytą boleść i rozpacz. Wie Pan Bóg o tém, wiedzą i sąsiedzi, że chrześcianin, że mam serce tkliwe i czułe na nieszczęście bliźniego, — przystanawszy więc spytałem:

— *A cóż ci się stało, Jędrzejko, że tak ciężko lamentujesz?*

— Jakżeż nie mam ciężko lamentować, kiedy oto *mój* w chałupie już kona i mnie z dziećmi biedną sierotę opuszcza.

Serce mi się z żalu ścisnęło, a więc zeskoczywszy z konia, ozwałem się do oniej płaczącej kobiety: — *może też jeszcze Pan Bóg przemieni.*

— Kiedy on już od godziny w konaniu i jedno patrzyć, rychło zamrze nieborak.

— Zobaczę ja, zobaczę.

Tych słów domawiając, przestąpiłem próg chałupy i spostrzegłem rozciągniętego chłopka na ubogiém pościu. Oczy bielmem zasłże miał w słup postawione, ręce i nogi jak lód zimne, usta martwe, piersi jeno pracowały przyśpieszonym a ciężkim oddechem i rzeczywiście niewątpliwem a wi-

doczném było konanie. W chacie wieśniaka, panie dobrodzieju, nie wstydzimy się religijnych zwyczajów; — przykłąkłem na kolano i pochylony ku obrazom świętych pańskich, całą ścianę nad łóżkiem zapelniających, z czystą wiarą odmawiałem *modlitwę za konających*, gdy naraz poruszanie się piersi konającego ustało, — cała postać wyprężyła się od stóp do głowy, — całe ciało zastygło — i w téjże chwili... ale pan dobrodziej zapewne nie uwierzy, jednakże ja to na moje własne oczy widziałem, — z ust tego chłopka uleciał czerwono-niebieski *per modum* płomyczek, ot téj wielkości, jak paznokieć u serdecznego palca, tylko, że był u góry nieco zwężony; — i panie dobrodzieju, ten płomyczek wzniósł się nad łóżko i skierował się ku drzwiom, otworem stojącym, w tém moje charty, które za mną przysły do izby, postrzegłszy ten płomyczek, poskoczyły ku niemu; *Cudna* się spięła, *Lotka* dała susa — i o włos jeden, że nie schwyciła; — płomyczek na piec, — *Cudna* za nim; płomyczek ku komorze, — *Lotka* w progu; na raz płomyczek uderzył w okienko, szybkę wyłamał i na wieś popłynął; — aliści włoski, kudłaty *Wicher* jak swoją szeroką piersią palnie w toż okienko, tak je téż i z ramkami wysadził. *Cudna*, *Lotka* za nim, ja wybiegam przeddrzwi, patrzę — płomyczek płynie ulicą, charty za nim. Około kuźni widziałem go już tylko, jak główkę od szpilki; przy wiatraku już nic nie dojrzałem, jenom widział, że psy się łamią w obro-

tach — i trwało to minut dwie, trzy najwięcej. Naraz spostrzegam, że też samą ulicą płomyczek wraca, charty tuż, tuż coraz bliżej; — płomyczek wpada przez okienko napowrót do chałupy, charty za nim; płomyczek pod łóżko, *Lotka* za nim; płomyczek na szafkę z garnkami, *Cudna* za nim; płomyczek do komina, *Wicher* chlapnął pyskiem i znów o włos tylko, że nie uchwycił; nagle płomyczek się zakręcił — i chup!... wpada w usta zmarłego chłopka, który natychmiast — ale pan dobrodziej temu nie uwierzy — oczy otworzył i podnosząc się z łóżka, dosyć silnym wymówił głosem: „*A pudziesz*“ i mojego *Wichra* kułakiem w trąbę uderzył.

Krótko panu dobrodziejowi dokończę, chłopiek wstał, zadział na się sukmanę, ujął mnie za kolana i wyrzekł z wdzięcznością: «Bóg zapłać wielmożnemu panu; póki żyw będę, nie zapomnę, że mnie wielmożny pan swojemi chartami od śmierci uratował».

Czwarty od tego czasu minął już miesiąc; chłopiek, panie dobrodziej, zupełnem cieszy się zdrowiem — tak nam daj, Boże, na najdłuższe lata.

Ja się tam filozofii nie uczyłem; ale to, com panu dobrodziejowi opowiedział, na własne oczy, w mojej własnej wiosce, w miesiącu wrześniu przeszłego roku widziałem i wnioskuje, że to co innego być nie mogło... tylko dusza!...

Wiarogodny obywatel umilkł, uczeń niemieckiego uniwersytetu głęboko się zamyślił...

SŁÓW KILKA

o pannach bardzo dobrze ułożonych; o pannach, które nazywają osobami dystygowanemi; o pannach frontowych; o pannach, które mają pięknie umeblowaną główkę i o pannach gospodarnych.

Kiedym moję pierwszą wiejską gospodarkę rozpoczął, opatrzyłem się przedewszystkiem w ogary i charty, w jamniki i wyżły, na błoto i na suche pole; a następnie chełpiłem się przed sąsiadami, że moje ogary sarnę forsują, że moje jamniki nie tylko lisa, ale i starego jaźwca duszą; — o mojej zaś Dyance, kasztanowatęj wyżlicy z przekrajanym nosem, mawiałem zawsze, że jest przewybornie *ułożona*. Dziwnie więc zabrzmiało w uszach moich, gdym tutaj w Warszawie posłyszał: „*Panna jest dobrze ułożona*“. Czyby do kuropatw stawiała?... pomyślałem w pierwszym niewiadomości zapędzie; — a może na błoto?... Ale wywiódł mnie z błędu świadomy rzeczy jegomość, zapewniając, że panna *bardzo dobrze ułożona* jest mniej więcej taką samą, jak była za Księstwa warszawskiego panna z *bardzo piękną edukacją*.

Wiele, bardzo wiele byłoby pisać o dzisiejszém umysłowém kształceniu córek i sióstr naszych... Znam dystygowane mamy i papy, płacące za lekcyę tańca po złp. 20, — a za godziny *innych przedmiotów* po złp. 1... zwyczajnie jak co jest w modzie.

Tymczasem opowiem Państwu Dobrodziejstwu, moje niektóre spostrzeżenia nad *niektórymi* nowymi rodzajami panien.

1) *Panna bardzo dobrze ułożona* tańczy prześlicznie i gra na fortepianie kompozycyę Liszta i Thayerga; śpiewa wielkie arye włoskie, — mniejsza o to, że najfałszywiej, ale wielkie; — mówi dobrym akcentem nie tylko po francuzku ale i po angielsku; czytała całego George Sanda i odgaduje niekiedy *rebusy* w francuzkich gazetach illustrowanych: w rodzicielskim domu rej wiedzie; jeździ konno i — spodziewa się rychło iść za mąż.

2) Panna, którą nazywają *osobą dystyngowaną*, czyta z namiętnością wszystkie pamiętniki (*Memoires*) i wierzy w nie bezwarunkowo; pisze o emancypacyi kobiet; zwykle już nie tańczy; ubiera się niekiedy w czepek, a bardzo często w kosztowne i zgrabne pantofelki; przychodzi w większe towarzystwa sama jedna a chętnie młodszym pannom matkuje; lubi mocną herbatę i słabą już żywi nadzieję zrobienia dobrej partyi, chociaż kabała nieraz jej wiele szczęścia obiecuje.

3) *Panna frontowa* odłącza się w towarzystwie od innych panien; zaczepia mężczyzn, mówi głośno i śmiało mianowicie też obcym językiem; nigdy nikomu w najdrażliwszych odpowiedziach nie dłużna, a często i cięta; z góry spogląda na inne kobiety; przekonana o swojej urodziwości i o swoim rozumie; grywa najmocniejszém uderzeniem klawiszy; śpiewa z uśmiechem zalotnym na ustach

i w oczach; ubiera się modnie i z gorseм bynajmniej nie skąpo odsłonionym; tańczy wiele i stara się o to, aby w pierwszej parze stanęła; przy tém wszystkiém najwidoczniej jest pewną zwycięstwa; niewieścia łagodność jest dla niej obcą; łyzy w jej oku nie spostrzeżesz; do zemsty skłonna; w wyborze małżonka jej serce żadnego nie ma udziału.

4) Panny, które mają *pięknie umeblowane główki* potrafią listy pisać w pochlebnych wyrazach, charakterem bardzo ładnym, ale nie zupełnie ortograficznie; wiedzą wiele szczegółów z historyi Ludwika XIV i XV; lubią mówić o Dziewicy orleańskiej i o Maryi Stuart; czytały kilka rozdziałów z historyi rzymskiej; częstokroć są racjonalistkami i komponują dla młodszego rodzeństwa wiersze na imieniny dziadunia, babuni, mamy i papy.

Za mąż idą z wielką ochotą.

5) Panny gospodarne mało mają posagu; zjadliwie wyśmiewają kobiety prawdziwie wyższego ukształcenia; piszą listy bez litości niepoprawne; francuzczyzny nie zrzekają się zupełnie, ale ją kalczą niemiłosiernie; czytają wszystkie *Tajemnice* i tłumaczone romanse z obcych języków; smażą wybornie konfitury; pieką smaczne sucharki; umieją przyrządzać leguminki; częstują wszystkie przyjaciółki fałszywemi receptami na placki; bardzo wiele jedzą; wiele gadają o gospodarstwie; wiedzą, gdzie są wiktuały i towary najlepsze i najtańsze; nigdy prawdziwej ceny kupna nie powiedzą; w do-

mu używają przydeptanych trzewików; w ubraniu starają się o wielość kolorów; lubią biegać za sprawunkami, chociażby za cudzemi; na ulicy nigdy się nie zabłocą, służące ustawicznie łają; tańczą zamaszysto; każdą grzeczność przyjmują za dobrą monetę; lubią plotki i wiele gadają bez doboru wyrazów; w zamażpójściu nie są wybredne.

Bogobojnych, skromnych, a ludziom potulnych dziewczeczek, któreby nie znały *savoir parler*, z latarnią szukać potrzeba i to tylko w domach dawnej religii, dawnej cnoty; a na nasze wielkie nieszczeście liczba takich domów zmniejsza się widocznie.

Au. Wi.

CO ZNACZY,

Gdy młodzieniec jest dobrze, gdy jest bardzo dobrze
i gdy jest skończony.

Wiadomość w lepszych ale nie w najlepszych towarzystwach schwycona i stylem grubiańskim ¹⁾ opisana przez

Au. Wi. ch. fil.

Bywając niekiedy w *lepszych* towarzystwach, słyszałem starsze i młode panie powtarzające:

¹⁾ Najznakomitsi recenzenci *vel* krytycy *seu* sędziowie piśmiennictwa w różnych częściach kraju naszego zgodzili się na to, że w moich Ramotach i Ramotkach jest

„*Staś jest dobrze*“, pan Alfred „*jest bardzo dobrze*“, a niedawno dziewczynka szesnastoletnia objawiła w salonie cioci generałowej, że pan Emilian jest „*skończony*“. Nie uwierzycie państwo, ilem ja sobie mojej biednej natrudził głowy, usiłując odgadnąć, co panie rozumieją pod tym wyrażeniem: „*Staś jest dobrze*“, „*Alfred bardzo dobrze*“, i przyznaję się, że sobie dziwaczne a dla pań nienajkorzystniejsze czynił domysły; — „*Skończony*“ zaś Emilian tak wielką we mnie wzbudził ciekawość, iż z narażeniem przyzwoitości zapytałem szesnastoletniej dziewczynki: «Zkąd pani wiesz, że pan Emilian jest *skończony*?... Szesnastoletnia Wicencya, spojrzawszy na mnie z zadziwieniem, bardzo dowcipnie odpowiedzieć raczyła: «Pan jesteś nieskończony, gdy się pytasz co znaczy *skończony*, — i panna Wicencya umilkła, a jam upiekł raka ze wstydu i z radości; — bo o ilem się upokorzył wyższością wiedzy szesnastoletniej dziewczynki, o tylem się szczerze ucieszył, że jeszcze nieskończony. Podług moich prostych wyobrażeń w życiu ludzkim nie masz nic okropniejszego, jak być skończonym; — ja przynajmniej pragnąłbym być w całej mojej

szorstkość, ale nie objawili wysokiego zdania, czyli ten zarzut dotyczy myśli czy wyrażen?... a to jednakże różnica nie mała!... Rozsądniej postąpiła ustna krytyka salonowa, wyrzekłszy, że Ramotki są pisane stylem grubiańskim; — gdy zaś zdanie salonów jest niewątpliwe i niemyślne, więc tedy wiem z pewnością, że mam styl grubiański.

ziemskiej wędrowce — zawsze i zawsze nieskończonym!...

Nieskończoność to życie! skończoność to grób otwarty! to śmierć z kosą i z łopatą! — *Brrum!* aż mi zimno, gdy pomyślę, że panie, że moi przyjaciele, że świat prawdomówny z litością albo z szyderczym uśmiechem wyrzeknie: „*Au. Wi. jest skończony!*“

O ty mój opiekuńczy duchu! który mnie szlakiem nieskończoności prowadziłeś aż do téj chwili, nie pozwól, abym za życia mego był skończony!... Ja pragnę żyć jeszcze dla téj ludzkości, którą całym sercem ukochałem dla sióstr i braci, dla bliźnich; dla tych cudnych nieba błękitów, na których zapisane są «wiera! nadzieja! miłość!» — dla tego słońca, którego jutrzeńki codziennie z koruą Bogu wdzięcznością wyglądam; dla tych niw ojcowskich, na których wszystkie moje myśli i wszystko uczucie w jedno zestrzeliłem ognisko; dla *Dzwonu* mego, dla *Ramotek*, dla salonów, dla moich wierzycieli i — dla was, czarnobrewie i jasno-włose milące się koteczki, — dla wszystkiego pragnę i chcę być nieskończony?... Jam tego w moim grubiańskim stylu wyrazić, wysłować niezdolny;... ale trudna rada, od razu głową muru nie przebiję, więc wracam do porządku.

Bynajmniej odpowiedzią panny Wicencyi nie objaśniony począłem rozmyślać, następnie przez rok cały śledzić i wybadywać: jacy to młodzieńcy

są skończeni, którzy są dobrze, a którzy bardzo dobrze. Com zbadał i wyszedził, szczerze opowiem.

Jeżeli zobaczysz wyrostka, który po przymusowym przedukwieniu nauk gimnazjalnych, częstokroć nawet nieskończonych, — albo co gorsza — z pod stempla guwernerów francuzkich na *Boży* świat wychodząc, żadnego nie obiera zawodu pożytecznego dla kraju ale natomiast z pośpiechem ustroi się w osobliwe sukienki najświeższej mody paryzkiej, włosy żelazkiem przypieka, ciasne nosi rękawiczki, — przytém umie na pamięć kilka grzeczności francuzkich, tańczy *polkę* z zadzieraniem pięty, nie zmyli się w kontredansie i rażącej nieprzyzwoitości nie popełni, — płeć piękna zawyrokuję w salonach: „*on jest dobrze*“, a ludzie rozsądni powiedzą: to *próżniak*, a ludzie naukowi mrukną pod nosem: to *głupiec*..

Jeżeli, zobaczysz takiego próżniaka i głupca barczystym silnie zbudowanym *śmiałym* w salonach i *stanowczo rozprawiającym o kilku powieściopisarzach francuzkich*, płeć piękna zapewni cię, że ten pan jest *bardzo dobrze*.

A jeżeli ów *bardzo dobrze* napisał kilkanaście rymów w imionniku, jeżeli był *za granicą* widział Wezuwiusz! Neapol, Rzym, Paryż i Szwajcaryą; jeździł statkiem parowym na Renie i chociaż przez pół roku słuchał w Berlinie wykładu filozofii, którą *w chwilach uczuciowych* po salonach ogłasza, — i gęsi i gąski i lwice hurmem krzykną: „*skończony młodzienc*“!... A przecież to tylko bałwan, który

za granicą utracił albo nadwerężył zdrowie i majątek, — *balwan*, który niczém się do powszechnego dobra nie przyczyni, który się nadyma pokrewieństwem z rodzinami imion sławnych, który w najdroższych hotelach i restauracjach resztki ojcowizny marnuje i skryte zagina parole, — na panny milionowego posagu.

O pracowitym chłopaku albo rzemieślniku, o obywatelu, który szczerze stara się moralny stan ludu wiejskiego podwyższyć a rolnictwo ulepszyć; o zacnym kapłanie religii, o dzielnym wojowniku, o biegłych doktorach medycyny, o pocziwych literatach, o gorliwych i sumiennych urzędnikach, o zdatnych professorach nie usłyszysz, że są *dobrze*, *bardzo dobrze*, albo że są *skończeni*. Te przydomki należą się wyłącznie młodym paniczom salonowym, pasożytom, bezużytecznym trutniom społeczeństwa... — owym hotelowym dobrodziejom, owym filarom restauracyi francuzkich, owym gospodarzom pikników — itd. itd. ¹⁾

¹⁾ Jeżeliś w czamarze, w ubogiej kapotce albo we fraku nieco dawniejszej mody i gładko po francuzku nie paplesz, bez względu na twój charakter i na twoje zasługi *skończeni* nazwą cię: „*mauvais genre*“ — a znów zyskasz u nich nazwę „*comme il faut*“ jeżeliś w modnym ubraniu kosztowne z nimi odbył bachanale w jednym z tych ogrodów, w których *skończone* dziewczyny nad ich sercami panują... Niestety! mamy obecnie wiele *skończonej* młodzieży.

Każdy ojciec, o którego synach mówią, że są *dobrze, bardzo dobrze* albo *skończeni*, srodze rumieć się winien, bo przez zły kierunek wychowania swoich gagatków liczbę darmozjadów powiększył, krzywdę krajowi wyrządził.

OSTATNIE CHWILE,

ŚMIERĆ I POGRZEB

Ś. P. SPIRYDYONA TRYLLERSKIEGO.

— Czy pan śpi?...

— Na cóż ci ta ciekawość, ledwo-żeś mi stopy ze stawu nie wykręcił.

— Franciszek przyprowadził jakiegoś pana, który się chce z panem widzieć.

— Powiedz Franciszkowi, że nedorzeczość popełnił, przyprowadzając tego pana o 2-ój z północy, i sobie powiedz, żeś głupi, budząc mnie ze snu smacznego; — a temu panu powiedz, że się ze mną widzieć nie może, bo ciemno.

— Proszę pana, to ja świecę zapalę, bo ten pan ma pilny interes.

— Zkądże weźmiesz świecy, kiedy ja resztę wypaliłem.

— Proszę pana, zrobię ognia na kominku.

— Pewnie schwyciłeś złotówkę i dla tego je-

steś tak bardzo gorliwy. Zapal stoczek, a na drugi raz pamiętaj, aby świec nie brakowało.

Pawełek wysunął się po zapalki; ja tymczasem wstałem z łóżka i w nocnym tołubku wyszedłem do pierwszego pokoju, gdzie ów pan czekał na mnie z tym pilnym interesem.

Scena po ciemku.

— Któż to przyszedł do mnie?...

— To ja, wielmożny panie.

— Co za ja? po co?

— Mój pan prosi pana do siebie, bo już kona.

— Kiedy, gdzie, kto kona?...

— Mój pan.

— I jakżeż się twój pan nazywa?

Scena przy rozpalonym stoczku.

— To ja jestem, Andrzej, — od pana Tryllerskiego.

— Widzę, żeś to ty o... — czy w istocie twój pan kona?...

— O proszę pana, już od godziny kona a skończyć nie może, tylko koniecznie żąda z panem się widzieć. Niech wielmożny pan się spieszy, bo nie skona.

— A to lepiej, że nie skona.

— Ale gdzie tam, on już zaraz o dwunastą zaczął konać.

— Może ze strachu zwołujesz mnie a twój konający pan zapewne może i nie żądał widzieć się ze mną.

— Jak tego Boga kocham, tak żądał.

— No ruszajże naprzód, ja zaraz przyjdę za tobą.

— E! chyba, wielmożny panie, pójdziemy razem, bo mnie strach samemu powracać.

Podczas téj rozmowy ukończywszy ubranie, bezzwłocznie pobiegłem do konającego.

W rynku starego miasta na 2-gim piętrze narożnego domu mieszkał Spirydyon Tryllerski, od niedawna exbibliotekarz, niegdyś obywatel *dobrze urodzony*. Gdym drzwi do obszernej komnaty otworzył, świeca przy łóżku chorego dogorywała i tylko papier złożony nocnym jaśniał płomieniem i jaskrawe rzucał światło na śmiertelnie bladą twarz pana Spirydyona, który oczy kołem postawił, usta zsiniałe ściał, piersią ciężko pracował, a palcami szczypał kołdrę, jakby mu było potrzeba waty uskubać.

Nachyliwszy się do ucha pana Spirydyona, poszepnąłem mu przyjazno: „*podobno pragnąłeś ze mną pomówić?...*”

Chory milczał, tylko żar jego ciężkiego oddechu osiadł na ustach moich. Jeszcze dwa razy i coraz głośnieję powtórzyłem moje zapytanie, ale gdym żadnej nie odebrał odpowiedzi, na świstku bibuły następującą napisałem receptę:

Moschi veri granum unum
Sacchari albi grana quinque
M. f. p. D. t. d. N. X.

Au. Wi. ch. fil,

i z tą to receptą wysłałem Andrzeja do apteki. Niezadługo wrócił Andrzej z proszkami, z których dla pewniejszego skutku, dwa czy wcale trzy zawiąłem w opłatek i konającemu w usta włożyłem, a ujawszy za dolną szczękę, poruszyłem nią kilka razy tak szczęśliwie, że chory połknął owe proszki! poczem dałem mu jeszcze kieliszek starego wina francuzkiego. W kilka minut jego trupia twarz poczęła przybierać rumieńce, i oczy poczęły się poruszać i *puls* mocniej bić począł, — w końcu otworzył usta i z wyraźnem niedowierzaniem zapytał.

— Czy ja żyję jeszcze?...

— A któż ci powiedział, żeś umarł.

— Tak mi się zdawało... Czy to ty, Auguste?...

— Ja, mój Spirydyonie. Andrzej przyszedł do mnie, oświadczając, że pragniesz ze mną pomówić.

— Dziękuję ci. To już późno być musi.

— Godzina trzecia wybiła.

— Doktor mówił do mego Andrzeja, że nie dożyję godziny 12-tój.

— Jak się przekonywasz, konsyliarz pomylił się najwyraźniej.

— Tak, pomylił się, ale o kilka godzin tylko, gdyż ja czuję zbliżający się koniec. Myśl moja była już na sądzie Bożym — i tylko jakaś niewidoma siła przywołała mnie na chwilę do ziemi.

— To ja ci dałem trzy proszki, które cię

orzeźwiły, a kto wie, czyli ci nie powrócą zdrowia na długie jeszcze lata.

— Nie, nie, — próżna nadzieja, chociaż wyznaję szczerze, że żał mi umierać bez pozostawienia po sobie użytecznych dla ludzkości pamiątek... Zmarnowałem lat kilkadziesiąt... wina to moich rodziców... mojego wychowania. Przy schyłku dopiero zamierzałem pracować... Bóg nie dozwolił tej jedyniej... tej upragnionej pociechy...

— Nie rozczulaj się.

— O, gdyby nie ta kłótnia z panią hrabiną... możebym nie był popadł w tak ciężką chorobę, — byłbym przy bibliotece pozostał, — byłbym pracował... Ale niepodobna mi było zrzec się uczucia prawdy!... Kazała mi zdjąć rysunek z tej obory... oni tam bydło umieszcili na górze, osły na pierwszym piętrze... a ludzi na dole.

Andrzej. Zawsze panisko o jakiejś oborze mający...

Spirydyon. Odmówiłem tej usługi, odradzałem hrabiemu, twierdząc, że naśladować przebrzmiałych urojeń zwyczaj, urągać chrześcijańskiej wierze odrodzenia ludzkości... jest dzisiaj występkiem... Ale ta podrzędna chęć publicznego blasku, to *ja*, mordujące ludzkość całą... to *ja*, najzjadliwsza trucizna — gangrena społecznego ciała... dla tego, gdyby i w najdrobniejszych, w najniewinniejszych na pozór szczegółach, każdy odcień szatańskiego *ja* należy bez żadnego względu tępić i niszczyć, — gdyby przytém przyszło i część zdrowego ciała

skaleczyć... Auguście! weź scyzoryk i wyrznij z mojego ciała to *ja*, które mnie czyniło *nicością* przez lat 40...

Andrzej. Ojcie nasz, któryś jest w Niebie, święć się imię Twoje, przyjdź królestwo Twoje, bądź wola Twoja...

Spirydyon. Jako w niebie tak i na ziemi. Rozumiesz ty bałwanie, co to jest: „jako w niebie tak i na ziemi“.

— Panie Spirydyonie, nie unoś się gniewem... któż widział w czasie słabości...

Chory uściskał moją rękę, wznosił oczy do góry i cichemi usty szeptał coś do swęj duszy, — zimne krople wystąpiły na jego czoło i zażądał księda, — i dwie łzy stoczyły się po jego licu.

Czyniąc zadosyć pobożnej woli chorego, natychmiast wysłałem Andrzeja po księda, a tymczasem jałem mu wykładać znikomosci światowe, szczęśliwość przyszłego żywota; — prawilem mu o miłosierdziu Boskiem, podsycalem jego żal i skruchę za grzechy, jakie kiedykolwiek popełnił, — a gdym spostrzegł, że na wspomnienie grzechów, niby febra go trzęsa, więc znów zacząłem w ogólnikach mówić o znikomościach światowych, i tak jakoś długo o tych znikomościach mówiłem, aż oczekiwany ksiądz nadszedł i godnie mnie wyręczył w religijnej powinności przygotowania duszy Spirydyona na daleką wędrówkę.

O godzinie 5-tęj sprowadziłem księda ze świecą po wschodach, a gdym do pokoju wrócił, już

chory ostatnie oddał tchnienie, a jego ręce na krzyż złożone, były zimne i na wieki wieków martwe.

Podumawszy chwilkę nad niedocieczoną zagadką przyszłości zmarłego człowieka, zapaliłem sygaro i wezwałem Andrzeja, aby mi podał lak i pieczętkę do opieczętowania stariej sosnowej szafy i olszowej na trzech nóżkach komody, jedynych sprzętów, mogących zawierać jakąkolwiek po ś. p. Tryllerskim puściznę. Lecz Andrzej upewnił, że szkoda laku, bo ani w komodzie ani w szafie żadnych rzeczy nie było.

— A gdzież jest garderoba nieboszczyka?

— Zastawiło się na lekarstwa.

— Jakto, wszystkie rzeczy?...

— Wszystkie, proszę pana, nie masz ani jednego kawałka.

— A w czymżeż go pochowamy?...

— Proszę pana jest szlafrok.

— Głupiec z ciebie; widziałeś też, żeby kogo chowali w szlafroku.

— E! proszę pana, to jeszcze nowy szlafrok; dadzą się świeże szkarpetki i te haftowane pantofle od panny Emilii. Zresztą w czymżeby go inném pochować, kiedy *he!* wszystko żydzi wynieśli. To nie żart przez sześć tygodni ratować się samą garderobą, bo zegarek i ten pierścionelek od pieczętowania zastawiłem zaraz, jak pan odstał z biblioteki...

— Słuchajżeż, ja przyślę tutaj moje rzeczy, ubierzesz w nie nieboszczyka, bo w szlafroku nie można go kłaść do trumny.

— Na nic się nie zdało; nieboszczyk głową wyższy od wielmożnego pana, a toć-żeby w pańskich rzeczach wyglądał na trzy dziwy a na czwarty śmiech. Już mnie wielmożny pan usłuchaj; pochowamy go w szlafroku, bo też nieboszczyk najbardziej lubiał w szlafroku.

Na trzeci dzień, było dżdżysto i posępno, błota na Starym Mieście po kostki. O godzinie 3-ciej z południa przed narożną kamienicę zatoczył się parokonny karawan. Na drugiem piętrze zeszło się szczupłe grono przyjaciół, literatów i znajomych; przybył ksiądz z parafii ś. Jana, odmówił modlitwy, święconą wodą pokropił: po raz ostatni przypatrzyliśmy się regularnym rysom twarzy nieboszczyka; wreszcie Andrzej głośno zapłakał, włożono wieko i ostatnie uderzenie młotka głucho o puste obito się ściany.

Na cmentarzu nie było księdza, nie było mowy pochwalnej, kilka garści piasku rzuconych ręką życzliwych osób, otóż i koniec pielgrzymki Spirydona Tryllerskiego, niegdyś zamożnego obywatela wiejskiego, przed śmiercią exbibliotekarza i pocziwiej woli współpracownika Dzwonu literackiego.

Pozostało po nim tylko przyjazne wspomnienie w sercach tych osób, które go bliżej poznały i pozostał rękopism *tabelki bibliograficznej*, którą po

uporządkowaniu w następnych poszytach drukiem ogłosić nie omieszkam, jako wypłatę długu wdzięczności zmarłemu i jako częściowe wywiązanie się względem moich czytelników.

Tymczasem oświadczam, że osieroconą katedrę bibliografii do następnych poszytów rychło opatrzę.

TULIPCIA

WYCHOWANKA PANNY CHOURGOTTE.

I.

Kiedy szkarłatną purpurą jaśniejący rydwan złotego Feba po raz pierwszy dziewiętnaste stulecie chrześcijańskiej ery na laskiej powitał ziemicy, Eugenia z hrabiów Bzdurskich Anzelmowa Widłowska w ceglany dworcu nad rzeką Wieprzem, w majętności Chrapy, powiła małżonkowi swojemu pierworodną córę.

Anzelm Widłowski — herbu widły, — uroczyście przyjaciół swoich zwykł był zapewniać, że początek jego rodziny ginie w zamierzchu przedchrześcijańskich wieków. Wszakże byli i tacy złośliwi monografisci, którzy twierdzili i dowodzili, że dziadek Anzelma był w połowie 18-go stulecia (po Nar. Chr.) gajowym i na wielkiem polowaniu

w puszczy kozienieckiej rozjuszonego odyńca, zagrażającego kłem swoim życiu jednego z ulubieńców królewskich, widełkami, przy obstawianiu sieci używanymi, odważnie a zręcznie pod komorę uderzył i leśnego śmiałka trupem położył, — za co nazwisko i herb szlachecki pozyskał wraz z hojnym datkiem kilkunastu włók ziemi.

Dokąd więc początek rodziny Widłowskich odnosić, czy do zamierzchu przedchrześcijańskich wieków, lub do jodłowej ciemności puszczy kozienieckiej w ośmnastém stuleciu, pozostawiam to mężom, lubiącym się bawić w zagadki heraldyczne. Ja zaś jako pisarz drobnych powiastek wiem tylko, że pan Anzelm Widłowski rzeczywiście *widlami* się pieczętował, a więc był szlachcicem; że żona jego istotnie pochodziła z austriackich hrabiów pięknego imienia Bzdurskich, mających znów w swojej tarczy *lisi ogon w pokrzywach* z rosochatemi rogami jeleniemi na hełmie, i że majątność Chrapy nad Wieprzem, własność państwa Widłowskich, należała do złotych jabłek powiatu, przynosiła około 3000 dukatów rocznego dochodu, a więc powód dostateczny, aby była kuchnia dobra, wina smaczne i gości na zawołanie, — ztąd szacunek, wziętość i znaczenie w granicach jednodziennej podróży.

Po tym nawiasie rodowych i majątkowych objaśnień do głównego wracam przedmiotu.

Skrzywił się nieco pan Anzelm, gdy się dowiedział że obdarowanym został córką a nie sy-

nem; ale na moralną uwagę ciotki swojej, pani szambelanowej Filomeli Gagacińskiej, że wyroki Opatrzności szanować należy, że może w roku przyszłym i synem się poszczyci, powolnego serca pan Anzelm zachmurzone rozjaśnił czoło i do rychłych a sutych chrzcin pierworodnego dziecięcia projektu układać począł. Jakoż na dzień 26 stycznia 1801 roku zjechało się do Chrapów kilkanaście kolas obywatelskich, a w samo południe przybył ksiądz infułat z Zamościa, dwóch księży dziekanów, proboszcz miejscowy i wikary z Krasnostawu. Sądziłbyś, że to jaka rozległego znaczenia uroczystość kościelna? Nie, mój mości dobrodzieju, to tylko chrzciny niemowlątka, maciuciej córeczki dziedzica czterech intratnych folwarków.

Zapewne nikt z ludzi rozsądnych nie przypuści na myśl tego zapomnienia się Eugenii z hr. Bzdurskich Anzelmowej Widłowskiej, aby jej córeczka wzorem chamskich dzieci w kościele chrzczoną być miała i aby téj córeczce nadano jakie pospolite imię. O nie! nie! po trzykroć nie! Chrzest odbył się w bawialnym pokoju, pod baldachimem z jedwabnej różowej materyi, złotemi frendlami ozdobionym. Imion dano dziecięciu tylko trzy: Narcysa, Hiacynta i Tulipania. Co do ostatniego imienia czynił ksiądz infułat jakieś *objekcye i skrupuły*, ale pan Widłowski uściśnął czcigodnego prałata i prosił, aby się jego żonie nie sprzeciwiał, gdyż, pasyami lubiąc florę, pragnie w kwiecistych imionach swój córeczki niejako uprzytomnić sobie

najmilsze dla niej kwiaty. Ksiądz infułat dał swoje przyzwolenie; — do rzymskiego więc kościoła przybyła po raz pierwszy od zaprowadzenia chrześcijaństwa panna Tulipania! Czy ją zaś umieszczono w rubryceli lub nie, do téj chwili nie miałem czasu zapytać.

Jak Tulipcia w machoniewej kołysce przelulała swoje niemowlęstwo a następnie zaranek młodziuchnej wiosny przegłużyła i szczebiotać poczęła, na ten sielankowy ustęp zbyt szorstkiem jest pióro moje; — a raczej lat ośm przeskoczę i stanę przed najpierwszym okresem naukowego kształcenia jedynéj państwa Widłowskich pociechy — jedynéj, gdyż przepowiednia cici szambelanowej nie ziściła się niestety! Albowiem zapisaném było w konstelacyi rodzinnego lazuru Widłowskich, aby zamierzch tak pięknego imienia z przedchrześcijańskich wieków, mieczowe widły przedzierzgując na kądzieli w odwiecznych prawach zniszczenia utonął. Lecz się tutaj nie ciesz, smoczego apetytu nielitościwy czasie! — Podówczas żył jeszcze Widłowski i oto właśnie bujał po Warszawie, szukając rodowitéj Francuzki na guwernantkę dla Tulipci, a za nim ją wynajdzie, świeżą nałożę fajeczkę, przez co i wam, ukochani czytelnicy, dozwolę odkrząknąć i z miłego wrażenia nieco odetchnąć.

II.

Było to w roku 1809, w owéj chwili, gdy liczne zastępy wojsk austriackich marszem odwro-

tnym do swoich rodzinnych spieszyły krajów; w chwili, gdy szcęk oręża i odgłos zwycięstwa kraj cały przebiegał,— w owój to uroczystej chwili Anzelm Widłowski zdybał, ugodził i ku Chrapom piękną uwoził zdobycz, pannę Chourgotte (szurgott), o której sąsiadowi swojemu na popasie w mieście Karczewiu te z głębi serca odsłonił wyrazy:

— Jak honor kocham, tak ani słowa po polsku nie umie a przytém szelma ładna, co się nazywa.

— I jakżeż się z nią, kochany sąsiedzie rozmawiasz?

— Na migi, kochany sąsiedzie; ale ze wszystkiego widzę, że Francuzica nie głupia — moja żona nie posiadzie się z radości, a i ja będę się miał z pyszna, rozumiesz dobrodziej!...

— E! bo ty téż, panie Anzelmie, w czepku się rodziłeś. Ale któż ci ją naraił, gdyż i ja także niedługo potrzebować będę guwernantki dla mojej Emilci a i Ksawerkowi już siódmy rok minął.

— Nie tak to łatwo dzisiaj o rodowitą Francuzkę; podczas wojny dziewczyny z domu niewyjeżdżają. Ja aż przez pana hrabiego Belizaryusza (gdym się u niego o zaległy procent upominał), dowiedziałem się, że do kucharza księżnej Sanguszkowej przyjechała z Paryża z hrabiną tegoż kucharza rodonna siostra, a że ten kucharz to rodowity Francuz, więc ja, dobrodziej, po ciemieniu nie bity, w te pędy, nie tracąc i chwili czasu, pobiegłem podług

adresu, danego mi przez pana hrabiego, a potrząsnąwszy kieską, od razu dobiłem targu.

— Jakaż pensya?

— Trzy tysiące, podarunki na każde święta, to jest na Boże Narodzenie, na Wielkanoc i na Zielone Świątki, przytém wymówiła sobie dwa razy do roku wakacye, — przez cały styczeń i przez cały sierpień, aby mogła brata odwiedzać.

— A któż się umawiał, kto spisywał kontrakt, kiedy ona po polsku nie umie?

— A *jejej* — brat, on już umie po polsku, a do spisania kontraktu poprosiliśmy kamerdynera od księcia Radziwiłła.

— Bo téż pan Anzelm umie sobie we wszystkim zaradzić.

Z tym to skarbem w wigilią rocznicy urodzin swéj żony, przyjechał pan Widłowski do Chrapów.

Pani Widłowska, jak twierdzono w całym sąsiedztwie, *expedite* umiała po francuzku, więc téż aż do grochowych łez rozrzewnioną została, gdy z francuzkich ust panny Churgotte przy pierwszém powitaniu następujące usłyszała wyrazy: «*Madame j'ai tout quitté, ma chère patrie! ma belle France! — les bords enchanteurs de la Seine! ma ville natale, cet incomparable Paris!... pour me consacrer au développement de l'un de vos sauvages rejettons dans ce sombre et triste pays. J'espère donc Madame, que vous daignerez a précier mon dévouement, et que vous m'envisagerez comme l'ange tutelaire de l'avenir de vôtre fille, afin de*

ne pas me faire regretter mon exil et la perte de mes plus belles années de jeunesse et de liberté». (Pani! opuściłam wszystko! moję drogą ojczyznę, moję piękną Francją, uroczne brzegi Sekwany, mój rodzinny nieporównany Paryż, aby w waszym ponurym i posępnym kraju ukształcić jedną z waszych dzikich odrośli. Spodziewam się więc, że pani godnie moje poświęcenie się oceni, i że mnie pani uważać będzie, jako opiekuńczego anioła przyszłości córki waszój, i że mi pani nie dozwoli żałować mojego wygnania, i straty moich najpiękniejszych lat młodości i swobody).

Na tak szczytną odezwę panny Chourgotte pani Anzelmowa odpowiedziała potokiem najtkliwszych a najuroczystszych zapewnień, że z całej duszy, z całego serca starać się będzie udowodnić pannie Chourgotte, jak wysoko, jak głęboko umie cenić poświęcenie się panny Chourgotte; poczem nastąpiło zaprezentowanie Tulipci, której już nie tylko mama ale i papa najuroczystszym opowiedzieli głosem, że jako wielkie powinna poczytywać szczęście i dobrodziejstwo, że ją panna Chourgotte uczyć i jój młodociane wyobrażenia rozwijać i uprawiać będzie.

Przy wieczerzy dowiedziała się pani Anzelmowa, jakie panna Chourgotte lubi potrawy, o której godzinie udaje się na spoczynek, o której godzinie z rana czekoladę pijać zwykła. A gdy po wieczerzy obficie nakarmiona Francuzka w osobnym a ozdobnym pokoiku, ugodzoną pensją swoją na

franki obliczywszy, swoje nadspodziewane szczęście rozważała, — pani Widłowska do drugiej z północy dyktowała mężowi swojemu listy jego imieniem, do wszystkich znakomitszych sąsiadek i sąsiadów, na sąsiedzki zapraszając objadek. — O! bo i trudném-by było oddalić chwilę popisania się na oczy z osiągnioném szczęściem, z guwernantką, ani słowa nie umiejącą po polsku!

— Gdybyś to ty mógł zrozumieć; mój Anzelmku, jakie ona szczytne objawiła mi myśli, kiedy się przywitała ze mną.

— I cóż ona ci powiedziała?

— Powiedziała, że, poświęcając się dla naszej Tulipci, opuściła ojczyznę, Francją! Sekwanę, Paryż, — ale to trudno w polskim języku powtórzyć...

— Wiesz co, potrzebaby jęj dać jutro jaki prezent.

— Ja już o tém myślałam.

— Daj jęj te brylantowe kolczyki, które ci w przeszłym roku kupiłem.

— A ja będę bez brylantowych kolczyków?...

— Ja ci, kochanie, kupię ładniejsze.

— Ej nie — jutro będzie pani kasztelanowa, będą Jarzymowscy, — nie, nie. Ale wiesz co, dam jej ten złoty emaliowany zegarek, który ojciec mój dostał od króla Stanisława.

— Kiedy to, mój aniele, jest pamiątką historyczną.

— I cóż z tego; zapominasz, że ona się poświęca dla naszej Tulipci, jedyne dziecko naszego; zresztą zegarek dla guwernantki będzie prezentem bardzo à propos.

— Masz racją, kochanie, ja jej go jutro rano zaniosę.

— Nie, ja jej oddam sama, ty później możesz jej dać co innego od siebie.

Nazajutrz panna Chourgotte otrzymała prześlicznie emaliowany repetyer z łańcuszkiem weneckim i z dewizką, złożoną z bardzo pięknych drobno-stek, pomiędzy którymi odznaczał się w koralu rżnięty Kupido z sajdaczkiem i ze strzałkami; — sajdaczek był z perłowej macicy, a strzałki kaszką dyamentową obsypane.

Na *obiadek sąsiedzki* zjechało się osób kilkadziesiąt. Prezentacya panny Chourgotte była głównym przedmiotem aż do obiadu. Wystawny obiad był ozdobiony wielką piramidą z ciast migdałowych, mających drzwiczki czekoladowe, kolorowymi cukierkami ustrojone, na tych drzwiczkach był trójkolorowy napis „*La France*“. W połowie biesiady szambelan Gagaciński i gospodarz domu łącznymi siłami posunęli tę piramidę przed pannę Chourgotte, prosząc, aby raczyła drzwiczki otworzyć. Panna Chourgotte powolna życzeniom grzecznych panów, wyłamała drzwiczki, i wszyscy z najsprawiedliwszém uniesieniem — ujrzeli popiersie Napoleona także z cukru, z misternym bluszczem na głowie wielkiego cesarza. Pod oknami huczna

ozwała się muzyka na waltorni, klarynetach i tołumbasach, a pan szambelan winem szampańskiem wniósł toast panny Chourgotte.

Że oczy panny Chourgotte łzami zroszone zostały a wszyscy obecni od płaczu wstrzymać się nie mogli, o tém zapewniać czytelnika byłoby zbytoby zbyteczném. Dodać tu tylko czuję się w obowiązku, że na cześć panny Chourgotte wyprawionych zostało w sąsiedztwie Chrapów w przeciągu pierwszych czterech tygodni szesnaście okazałych zabaw z obiadami i tańcami.

III.

Gdy już wszyscy bliżsi i odleglejsi sąsiedzi Chrapów, uraczonymi zostali bytnością panny Chourgotte, a pani Widłowska sposobiąc się ku temu dni kilka, przy zdarzonej sposobności w wyrazach najgrzeczniejszych zapytała panny Chourgotte, które książki raczyła oznaczyć do rozpoczęcia edukacyi? — panna Chourgotte, niespodziewanie zagadniona w téj mierze, lekko się zarumieniwszy, po krótkim namyśle taką dała odpowiedź:

— Obecnie, w najnowszej nauk reformie, wszyscy profesorowie Paryża zgodzili się na to, że książki przytłumiają wrodzone młodych uczennic zdolności, i że najkorzystniejszą metodą rozwijania umysłów jest pozostawienie ich własnemu badaniu tajników wszechświata, tak pod względem roślinnym, jak i duchowych pojęć moralnych, w uczuciu

obowiązków ludzkości; — a przez umiejętną konwersacyą należy tylko myśl badania skierować ku tym przedmiotom, które są szczytnemi i w wyższych sferach dobrego towarzystwa dystygowaniemi. Tę to metodę, przez p. Jana Jakóba Rousseau, jenerała wojsk cesarskich zaprowadzoną, i ja za najwłaściwszą uznałam i téj metody w wychowaniu Tulipci trzymać się będę.

— Ależ panno Chourgotte, — przepraszam, że się ośmielam zrobić uwagę, — lecz mnie się zdaje, że Jan Jakób Rousseau nie był jenerałem...

— Był jenerałem, — ale wziął dymisyą.

Po téj krótkiej nawiasowej tylko rozmowie pani Widłowska pobiegła do męża, aby mu donieść, że Tulipcia będzie edukowaną podług zasad jenerała Jana Jakóba Rousseau; a panna Chourgotte, udawszy się do swojego pokoiku, taki napisała list do swego brata, kucharza w usługach księżnej Sanguszkowej w Warszawie:

Kochany Bracie!

Już od ośmiu dni zabieram się do napisania listu do ciebie, kochany bracie, ale Ty wiesz, jak mi trudno jest pisać. Ale dzisiaj to nie mogę się lenić, bo mi burza zagroziła, a to Ty temu, kochany bracie, wszystkiemu winny jesteś, boś Ty mnie zrobił guwernantką. A najprzód donoszę ci, że jestem zdrowa, i że mi się powodzi lepiej aniżeli twojej przyjaciółce Karolinie, którą oddałeś na guwernantkę do tego krzywego podprefekta.

Wystaw sobie, dostałam już tutaj wiele bardzo pięknych prezentów; dają dla mnie bale, i kilku bogatych panów stara się o moje serce, a monsieur Widłowski codziennie mi robi różne grzeczności.

Ona sama mówi po francuzku dosyć zrozumiale, jest dla mnie bardzo delikatną, ale, jak mi się zdaje, nie wiele więcej umie odemnie. Wczoraj jednakże przy śniadaniu zapytała mnie, na jakich książkach będę uczyć jęj córkę, a Ty wiesz, żeśmy w magazynie bardzo mało książek czytywały; szczęściem dla mnie, żeś słyszała o tym jenerale, który kazał żołnierskie dzieci chować podług praw natury; jeżeli się nie pomyliła, to się nazywał Rousseau. Otóż odpowiedziałam jęj, że będę moję uczennicę chowała podług zasad jenerała Rousseau, i ona na to przystała. Ale trzebaż-by tę młodą panienkę nauczyć przytém i czytać po francuzku, więc mi kup taki sam elementarz paryzki, na jakim się uczyłam czytać u ciotki naszój, to mi jakoś łatwiej pójdzie wykład téj nauki. Zresztą to ja sobie dam radę. Możeby było dobrze, abyś mi kupił książkę z wokabułami i jakie ładne bajeczki, których ją będę uczyła na pamięć. I kup mi jeszcze co takiego, co potrzebne dla guwernantki, — a możesz się wypytać u p. Emila; przecież on już ośm lat guwernerem, to się musiał czegoś nauczyć. Kłaniaj mu się bardzo ładnie odemnie. Duża to pensya i ładne prezenta, które odbieram, i jeść bardzo wiele dają, i mam piękny pokój i usługę,

ale mi tu bardzo nudno; dwór tylko jest murywany, a reszta domów ze słomy, — a nigdzie nie wybrukowane, i w całej wsi oprócz pani Widłowskiej nikt ani słowa po francuzku nie umie. Nauczyłam się tu gotować jednej bardzo smacznej polskiej potrawy, receptę później ci przyślę, bom się dzisiaj tak bardzo pisanie tego listu zmordowała, że mnie aż palce bołą; a i pan Widłowski przeszkadza mi, gdyż ciągle z ogrodu do okna zagląda i rzuca na mnie kwiatkami. Ale jak tu szkaradny ogród; w całym Paryżu nie ma tak brzydkiego ogrodu, a oni tu powiadają, że to bardzo piękny. Ta rzeka, która płynie zaraz za ogrodem, nazywa się *Swinia* (Wieprz); możesz sobie wyobrazić, jak są ludzie tutaj jeszcze nieucywilizowanymi, kiedy ładną rzeczkę mogli nazwać tak nieprzyzwoicie. Adieu, mój bracie; przysyłaj książki. Tysiąc franków jak ci obiecałam, tak dotrzymam słowa, tylko pensyą dostanę.

Adieu! — Adieu!

Twoja siostra, Susette Chourgotte.

IV.

Już od dni kilkunastu Tulipcia pobierała edukacją podług zasad Rousseau, kiedy czcigodna nauczycielka odebrała list następujący:

Panno Susette! (Zuzanno).

Brat twój zaszczycił mnie swoim zaufaniem, powierzając mi list twój do niego pisany i upowa-

znił mnie do odpowiedzi w jego imieniu, spiesźnie bowiem wyjeżdżał z całym dworem księżnej do Galicyi. Przedewszystkiem składał ci zapewnienie, żeśmy się serdecznie ucieszyli z dobrego powodzenia twojego. Następnie dziękuję ci za łaskawą o mnie pamięć, jak niemniej i za honor polecenia mi wyboru potrzebnych dla ciebie książek. Metoda Jana Jakóba Rousseau, którą się w niebezpiecznej chwili najszcześliwiej zastawić potrafiłaś, jest pomysłem genialnym, — ale nie wystarczyłaby na długo i w całości przeprowadzić się nie da. Przeciwnie jak największa obfitość książek nie tylko ci ułatwi i poda środki nauczania, ale także przyczyni się do powagi nauczycielskiej, bo, widząc cię wśród stosu francuzkich książek, nazwą cię kobietą uczoną i już tego epitetu żaden polski profesor nie potrafi ci wydrżać, gdyby i najzawzięciej udowodniać zapragnął, że nic nie umiesz. Więc ci posyłam: trzy gramatyki, dwa słowniki, sześć książek z bajeczkami, ośm tomów botaniki, dwa tomy fizyki, trzy tomy chemii; dzieł dramatycznych Piccarda tomów 10, najtkliwszej treści romansów ksiąg 40, z pomiędzy których przeczytaj panna Zuzanna najpierw Annę Radcliffe, Malwinę pani Cotin, listy Heloizy i Abeillarda i Korynnę pani Staël, — a pani zaczerpniesz wiele pięknych sentymentów do błyszczenia w towarzystwach wyższej sfery, jak niemniej do napawania temi pięknymi sentymentami nie tylko swoją uczennicę, ale i jej najszanowniejszą mamę. Nadto posyłam ci sześć kart

jeograficznych i wielki globus; — wzory do kaligrafii, wzory do rysunków, pudełko z farbami i cały przybór pendzli, cerkli i jeometrycznych drobiazgów. Są to wprawdzie nieco zużyte przedmioty, ale rozumiem, że wcale nie przedrożę, gdy ci je za 800 franków odstąpię. Możesz bez zarumienienia zażądać od pani Widłowskiej najmniej 1000 franków. Mnie za te same książki, globus, wzory i karty jeograficzne zapłacił hrabia *** 1500 franków, a gdym edukacją kawalera ukończył, odkupiłem je za piękne przymówienie się. Karty jeograficzne poprzybijasz na ścianach uczelni, wielki glob ustawisz na środkowym stole, który to stół potrzeba okryć suknem zielonym albo kobiercem, czego wprost zażądaj od rodziców uczennicy. Spodziewam się w przyszłym tygodniu jechać z moimi terazniejszymi elewami na wakacye do babki, mieszkającej za Lublinem, to pannę Zuzannę odwiedzę i ustnie objaśnię, jaki program nauk ułożyć i jak go przeprowadzić. Ponieważ w mój podróżny będę potrzebował pieniędzy, przeto racz ośmset franków łaskawie przysposobić. Do widzenia się, szacunku godna rodaczko.

Emil Dourens.

15 sierpnia 1809.

P. S. Pan Rousseau nie był nigdy jenerałem; potrzeba więc pannie Zuzannie zgrabnie się wycofać z téj wielkiej pomyłki.

Po odebraniu tego listu i téj masy książek długo się panna Zuzanna namyślała, jak się z metody jenerała Rousseau wycofać i w jaki sposób metodę Emila Dourens zaprowadzić. Rzecz z pozoru tak trudna w rzeczywistości okazała się bardzo łatwą; zaledwo bowiem panna Chourgotte ukończyła semetryczne przybicie na ścianach kart jeograficznych, i ułożenie książek i wzorów na komodzie, a pompatyczne ustawienie globusa na wielkim stole, przyszła przez Tulipcię zwabiona mama.

— Ach! cóż za piękna biblioteka!

— To są książki, podług których edukowałam margrabiankę S...

— Więc pani margrabiankę edukowałaś nie podług jenerała Rousseau?...

— Była zbyt wrażliwą, abym tę metodę do niej zastosować była mogła.

— A czyliż pani sądzisz, że Tulipcia nie będzie wrażliwą?..

— Właśnie że córeczka pani posiada ten sam popęd umysłowy i te wszystkie skłonności serca, któremi margrabianka hojnie od natury uposażoną była, dlatego też pragnęłabym połączyć dwie metody: metodę pana Jana Jakóba Rousseau, brata jenerała, który tak chlubną poległ śmiercią pod Piramidami, z metodą pana Emila Dourens, jednego z najpierwszych pedagogów europejskich; — nie wiem tylko, ażaliby dla państwa nie było zbyt uciążliwem zakupić te wszystkie potrzebne książki ku takiéj edukacyi, w dwóch metodach zespolonéj.

— Ach jakżeż nas, pani, możesz posądzać o tak poziomą oszczędność, gdy córka nasza mogłaby mieć sposobność pobierania edukacji zespolonej w dwóch metodach; prawdziwie że nie tylko wszelki wydatek w téj mierze jak najchętniej przyjmujemy, ale nadto dozgonną dla pani zachowamy wdzięczność za tyle nieograniczonej dobroci w usiłowaniu pani, łożoném dla najwyższego szczęścia jedynego dziecka naszego.

— A dobrze, jeżeli państwo spuszczają się w téj mierze bezwarunkowo i zupełnie na mój wybór i kierunek...

— Bezwarunkowo i najzupełniej, droga panno Chourgotte. Ileż te książki panią kosztują?

— Te książki, globus, karty jeograficzne i te wszystkie wzory kosztowały 1500 franków, ponieważ margrabina żądała, abym zakupiła dzieła wyborowe; — a gdy margrabianka wyszła za mąż, odkupiłam je za 1200 franków na użytek przyszłych moich uczennic.

— Ach najchętniej pani zwróciemy 1500 franków, tylko racz pani edukować naszą córkę podług dwóch metod.

— Chętnie przychylę się do prośby pani i chociaż to przyjdzie z największém poświęceniem się mojemu...

— Oh pani! naszym obowiązkiem będzie zawdzięczyć pani to poświęcenie się... Więc to będą dwie metody?...

— Tak jest; będzie to zespolona edukacya z dwóch metod pana Rousseau i pana Dourens.

Nazajutrz pan Widłowski z nietajoną dumą opowiadał sąsiadom swoim, że w pannie Chourgotte znaleźli klejnot nieoceniony, albowiem będzie edukowała ich córkę podług dwóch metod pana Rousseau i pana Dourens.

Nudna to sprawa wglądać w jedną metodę nauczania początkowej a tak tępej w pojmowaniu uczennicy, jaką była 9-letnia Tulipcia, nie dopiero śledzić edukacyą, zespoloną w dwóch połączonych metodach. Oddalam się więc z domu państwa Widłowskich na lat sześć i dopiero powrócę do moich szanownych znajomych, gdy Tulipcia 15 wiosen ukończy; może wówczas czytelnicy znajdą więcej interesu w skutkach już dokonanej edukacyi.

V.

Było to 5 czerwca 1816 roku, gdy panna Chourgotte w czworokonnym powozie opuściła Chrapy, uwożąc spore pudełka kosztownych upominków z lat siedmiu, 15,000 złotych gotówką i dwa kufry wyładowane piękną garderobą; — jechała do państwa Gapińskich w Sandomierskie na objęcie nowych obowiązków guwernantki.

Prócz trzech tylko niedogodnych wypadków¹⁾ cały pobyt w Chrapach liczyła do najprzyjemniej-

¹⁾ Botanika jest nauką bardzo pożyteczną, bo osłabia domysły niszczy potwarze.

szych wspomnień życia swojego. Pan Widłowski, od kilku miesięcy niewyleczoną chorobą złożony, już był obojętnym na odjazd panny Churgotte; — pani Widłowska czuła się swobodniejszą po oddaleniu się Francuski; — natomiast panna Tulipania obfitemi strumieniami łez opłakiwała utratę swęj duchowęj przyjaciółki i powiernicy, a w czarny ubiór strojna dzień cały błąkała się nad brzegami Wieprza, płacząc, wzdychając, żalamując ręce, wznosząc oczy ku błękitowi niebios i deklamując najtkliwsze ustępy z romantycznych dzieł francuzkich...

O godzinie dopiero 9 z wieczora, po trzy kroć przez mamę wezwana, powróciła do pałacu ¹⁾ i, nie zajrzawszy do chorego ojca, udała się do swojęj sypialni, gdzie, przez noc całą do kilkunastu francuzkich książek zazierając, pisała list do swojęj przyjaciółki, — list, który w dosłownym polskim przekładzie tutaj umieszczam, już kwoli przyczynku do skarbnicy tkliwego piśmiennictwa, mianowicie zaś dla objaśnienia co do stopnia naukowego, umysłowego i uczuciowego panny Tulipanii, nie wspominając o chmarze błędów gramatycznych, w pisowni francuzkieję popełnionych, bo w szczytnym wylewie najwzniosłego uczucia byłoby niegodnóm zniżać się do gramatycznych prawideł.

¹⁾ Przybudowanie jednopiętrowego narożnika z balko-
nem na Wieprz, a ztąd nazwa *pałacem*, na karbie wdzię-
czności dla panny Chourgotte zapisanemi być winny.

Zuzanno!

Odjechałaś — nie widzę Cię obok mojego serca, — a ja jeszcze żyję?... i mówią, że jest Bóg dobroci, Bóg litości?... Zuzanno! w błękicie marzeń moich Twój obraz przodkuje wszystkiemu uczuciu, bo cóż jest na całym świecie, co by było droższem nad przyjaźń?...

Zuzanno! wir żalu i smutku, co serce moje otoczył, podobny jest do uraganu, który piaszczystym całunem młodą palmę z rzędu żyjących roślin wrywa.

Zuzanno! jam Tobie winna stokroć więcej nad życie! Z ust Twoich wypłam kielich rozkoszy samoistnego wzniesienia się nad przesady i nad głupiego świata opinią, bo wiem, że dusza moja wyłącznie moją jest własnością, — a serce rzetelnem piętnem mojego jestestwa, i po tychże to szlakach najszczytniejszego uczucia karmię się dumą wyższości nad tłum kobiet powszednich.

Zuzanno! ja drzę na tę myśl okropną, że od Ciebie przez długich dni ośm żadnej nie odbiorę wiadomości, a nigdy nie potrzebowałam i niepragnęłam tyle Twojego zdania i Twojej rady; — o! bo to było widzenie z przybytku Sybili mojego losu — posłuchaj mojej tajemnicy!

Słońce zanurzało złote warkocze w zwierciadlanej toni rodzinnej rzeki mojej; — Aniołowie na skrzydłach pomroku roznosili balsam nadziei do lepionych chatek pracowitego rolnika; — umilkły

śpiewy ptasząt, a chłodna rosa spragnioną zwiliżyła przyrodę, gdym tęskne myśli orlim szybem puściła na wiosenne błonia mojej przyszłości...

Widziałam dwóch młodzieńców... jeden w zbroi rycerza średnich wieków łamał u nóg moich chorągiew muzułmańską, — drugi w stroju pasterskim zbliżył się do mnie, niosąc w dani kwiat pomarańczy i oliwną gałązkę, — a pomiędzy nimi Twoja, droga Zuzanno, postać unosiła się w powietrzu z wieniec mirtowym. W rycerzu wieków średnich poznałam Kazimierza, w niosącym kwiat pomarańczowy i oliwną gałązkę widziałam Alfreda, — a wieniec mirtowy w ręku mojej Zuzanny — to był objaw mojej przyszłości — Tyś była moją Sybilą.

Ach Zuzanno! komuż mam oddać mój wieniec mirtowy, ach! powiedz, najdroższa przyjaciółko; wiesz dobrze jak stanowcza jest wola méj mamy, abym przed śmiercią ojca wybór uczyniła.

Zuzanno! głowa mnie pali rozżarzoną węglem, — serce gromem uderza, — dusza zanurzona w boleści.. bo niepewność i oczekiwanie są najstraszniejszymi męczarniami życia dziewczycy.

Mama dla rozweselenia mnie oświadczyła mi na *dobra noc*, że jutro pojedziemy do hrabiny... gdzie dają wielki bal z powodu zaręczyn jej córki z generałem Z***. Jestem pewną, że tam obydwóch zastanę, ach! któremuż z nich sprzyjać?!... powiedz Zuzanno! Kazimierz jest piękny i waleczny, — Alfred bogaty i zachwycający manierami wielkiego

świata; Kazimierz tylko szlachcicem na jednej wiosce, Alfred spodziewa się sukcesyi obszernych włości i należy do rodzin arystokracji kraju naszego.

Zuzanno! jestemżeż ja tak piękną, jak mi to po milion razy mówiłaś!... Któraż ja jutro wezmę sukienkę? O wiem, Zuzanno, tę a nie inną; tak jest tę, w której mię nazwałaś królowną polskiej Flory — tak, tak — tę a nie inną; — a głowę ubiorę w około lokami, tyle przez Ciebie lubionemi, — i z pereł zrobię plecionkę i będę królowną w sercu mojej Zuzanny... i z dumą stanę w szranku z córką hrabiny, — i ujrzę u nóg moich cały rój młodzieży... i będę szczęściem szczęśliwą, — a duch mojej Sybili w stanowczej chwili poszepnie, które serce okolic płomieniem zwyciężkiej miłości... Już różane światło ze snu budzącą się przyrodę oblewa i nocny śpiewak milknie, a jeszcze piszę do Ciebie, najdroższa przyjaciółko duszy mojej, gwiazdo mojego uczucia, aniele mojej przyszłości...

Przed chwilą doktor przyjechał; papa coraz słabszy; słyszałam że posłano także po księdza. Papa żąda mnie widzieć jeszcze, zapewne mi błogosławić będzie przed śmiercią. Może nam już nie wypadnie jechać do pani hrabiny; ach Boże! że też papa tak wcześnie umiera. Elżbietka już trzeci raz przybiegła; papie coraz gorzej, muszę iść po błogosławieństwo; ciekawą jestem tego wrażenia; jakie na mnie zrobi śmierć papy; będzie to nowe

studyum mojego serca. Adieu — adieu! je vous presse contre mon coeur, mon ame vous embrasse!

Tulipine.

VI.

— Anzelm Widłowski, dziedzic dóbr Chrapy, już od dni ośmiu ciężki Bogu zdawał rachunek z biernéj pielgrzymki ziemskiego żywota, gdy w głębokim nieutulona żalu, owdowiała pani Widłowska i w melancholiczno-sentymentalnie estetycznym smutku pogrążona córka Tulipania piękną basztardą, w pięć koni zaprzęzoną, z dziedzienca osieroconych Chrapów wyjeżdżały na gościniec warszawski.

— Czy *maman* kazała zabrać moje wszystkie książki?

— Wszystkie, moja Tulipciu.

— C'est bien, bo ja chcę dzisiaj na noclegu skończyć ten romans od pana Alfreda. Jak on jest względny na nasze nieszczęście; zaraz nazajutrz po śmierci papy przysłał mi książki i podczas pogrzebu ciągle mi asystował z flakonikiem wody pachnącej i tak mnie zaklinał, abym nie rozpaczała, przekładając mi w najszczytniejszych wyrazach, o ile to jest *devoir* dusz wzniosłych hamować łzy w chwilach epoki śmierci ulubionych osób; a w końcu dodał: «istoty dystyngowane jak radością tak i smutkiem winny się różnić od tłumu». I znalazłam, że ma zupełną rację, bo

rażacém było to szlochanie córki ekonoma i tych tam wiejskich kobiet. Rozumiem zblednąć, złodowacieć — zemdleć, — to jest ekspresya d'une tristesse noble, — d'une éducation distinguée.

— Córka naszego ekonoma szlochała, bo to był romans z nieboszczykiem. Powiedziałam téż jój ojcu, aby się o inne starał miejsce.

— Savez vous Maman, pan Kazimierz ani jednego do mnie nie wymówił słowa; dopiero gdym tak głośno jęknęła przy spuszczeniu trumny, uściśnął tylko moją rękę.

— Bo nie umiał nic powiedzieć à propos.

— Jednakże ja go bardzo szanuję; wszyscy mu wielkie oddają pochwały.

— To tamci tylko go chwalą, co z nim odbywali kampanią; w salonie jest sztywny i mało mówiący.

— On podobno jest dobrym dla ludzi i wzorowo gospodaruje.

— Każdy szlachcic dobrze gospodaruje, ale chce, żeby żona także maślanke na kwarty mierzyła.

— Ale znów jak pan Alfred, który w domu nigdy nie posiedzi.

— Kto ma takie sukcesye na widoku, może w domu nie siedzieć.

Ciekawam, który z nich pierwój do Warszawy przyjedzie?

— J'e certifie que ce sera Alfrede.

— Ja bym była rada, żeby i Kazimierz przyjechał.

VII.

W garkuchni pod *Zarłokiem* przy ulicy Podwal w Warszawie młodzi oficerowie, żołnierskim apetytem uprzątnąwszy obiad, na długich cybuchach rozniecili stambułki i po krótkiej zamianie najnowszych wiadomości służbowych zwykłą koleją przeszli do codzienniej rozmowy o dawnych i nowych pięknościach Warszawy.

— Widziałeś dziś Aplecińską?

— A któżby jęj nie widział! Od rana do zmierzchu włóczy się ze zwiędłemi wdziękami swych córek po wszystkich ulicach Warszawy, jak żydówka z koszem przegniłych pomarańcz.

— Gadaj zdrów; Malwina jeszcze ani myśli z placu ustąpić.

— Felix Jemioła porucznik z I pułku ułanów, ex-kawaler panny Malwiny, był w sobotę u Wielkiego Xięcia, prosząc o urlop na 3 miesiące, żeni się z jakąś prześliczną Litwinką i wyjeżdża do dóbr swoich w Augustowskie.

— Dawna historia; ale ja wam powiem coś nowszego. Przeszłego roku pod jesień przyjechała tutaj do Warszawy pani Widłowska z córką jedy-naczką bardzo bogatą, bardzo piękną. W grubiej żałobie po mężu i ojcu nigdzie nie bywały, dopiero od kilku tygodni zaczęły wizytować i przyjmować.

— Niechaj umieram, jeżeli kiedykolwiek z ust twoich istotną posłyszałem nowinę; — to, co już

na czterech rogach miasta otrąbiono i ogłoszono, w najlepszej wierze za nowinę powtarzasz. Słuchaj więc, ja ci o panie Widłowskiej coś więcej opowiem. Od niepamiętnych czasów bywają u pani Widłowskiej:

1. Nasz Pułkownik.
2. Podporucznik hrabia *
3. Jakiś wypięzmonowany Alfred, fanfaron salonyowy.
4. Jakiś pan Kazimierz, szlachcic ex-wojskowy.
5. Jakiś uczeń z fakultetu filozoficznego.
6. Stary kasztelan Z*** a oprócz tego pół tuzina stałych gości kręci się obok panny Widłowskiej; — na przeprzążkę jeszcze kilkunastu młodzików, a ona z całą rutyną najprzebieglejszej kokietki każdego darzy uśmiechem nadziei i słówkami miódowemi, nierzadko i uściśnieniem ręki.

Na te słowa powstał na uboczu siedzący mężczyzna w cywilnym ubiorze, zbliżył się do mówiącego i rzekł doń głosem oburzenia:

— Za te wyrazy, ubliżające panie Widłowskiej, odpowiesz mi, panie, na drodze honorowej; obecnie proszę pana, abys się wstrzymał od dalszego kłamstwa w tym przedmiocie.

— Jak mi pan udowodnisz, że jesteś godnym honorowego zadosyćuczynienia, znajdziesz mnie gotowym do honorowej rozprawy; tymczasem zaś przy prawdzie mojego opowiadania obstaję i nie przyjmuję żadnych rozkazów milczenia od osoby,

zupełnie mi nieznanej, a podsłuchiwaniami poufnych rozmów zeszpeconej.

— Niegdyś dowodziłem pierwszym szwadronem trzeciego pułku ułanów, obecnie jestem obywatelem ziemskim, — to jest moja tymczasowa dla pana legitymacya. Poufną gadaninę nie podsłuchiwałem, tylko ją słyszałem przymusowo, bo masz, panie, głos donośny, przeto uczyniony mi zarzut o ile niecny o tyle jest niesprawiedliwy.

— Ale to wszystko nie dowodzi żadnego prawa, abyś mi pan nakazywał milczenie.

— Powstrzymanie potwarzy, rzuconej na pleć słabą, jest obowiązkiem ściśle honorowego człowieka, a dla mnie jest obowiązkiem podwójnym, — bo się zaszczycam najszanowniejszymi względami nikczemnie przez pana spotwarzonej osoby, — i mój rozkaz milczenia powtarzam z tą najuroczystszą przysięgą, że raczej posunę się do niegodnej nas ostateczności, aniżeli ścierpię jedno słowo dalszej potwarzy.

Szanowny obrońca poparł te wyrazy uchwyceniem widelca czy noża; — obecni koledzy zawstydzonego oficera poskoczyli na rozejm; — jakoż po wymianie nazwisk i miejsca zamieszkania stron obydwóch sprawę odroczone do jutra, i w kilka minut w sali jadalnej pod Żarłokiem było pusto i głucho.

VIII.

Bohaterem powyższego ustępu był Kazimierz^{***}, o którym panna Tulipania wspominała w liście,

pisany do swojej wielkiej przyjaciółki, do panny Chourgotte, o którym rozmawiała z *maman*; kiedy z Chrapów wyjeżdżały do Warszawy.

Pojedynek odbył się na Bielanach bezzwłocznie, bo nazajutrz. Potwarca wyszedł bez szwanku, szlachetny obrońca kulą w piersi ranny, przeszło trzy miesiące leczył się w jednym z hotelów warszawskich, i kiedy powrócił do zdrowia i pierwszy raz wyszedł na ulicę, spotkał weselny orszak swojego rywala Alfreda^{***}, zajeżdżający przed kościół Kapucynów. Siłą najgwałtowniejszego uczucia wiedziony wtoczył się z mnóstwem ciekawych aż przed wielki ołtarz. Widział Tulipanią z ślubnym wieniec na skroniach, z uśmiechem radości na ustach, słyszał jej przysięgę na wierność, miłość i posłuszeństwo dla Alfreda.

Kazimierz nie kochał się w pannie Tulipanii, ale prawdziwie kochał pannę Tulipanią, więc oszczędził jej aktorskiego ukazania się przy ołtarzu; — dopiero po skończonym obrzędzie zbliżył się nieznacznie do panny Chourgotte, która była druchną panny młodej, i dając jej pierścionełkę węzowy z włosami, prosił głosem drżącym, aby ten upominek raczyła zwrócić niewiernej kochance.

— Tulipcia pana zawsze kochał...

— I ślubowała innemu?

— A cóż to ma do tego, ślub i kochał, dwie bardzo różne rzeczy.

Tulipcia, szukając oczyma swojej najukochańszej przyjaciółki, spostrzegła Kazimierza; — lekki

rumieniec przebiegł jój lica, pokryjomu ułamała gałązkę ze ślubnego wieńca i podała ją pannie Chourgotte, szepcząc na ucho: *c'est pour lui*. Panna Chourgotte wykonała tajemne polecenie panny młodej z najszczerzą skwapliwością. Kazimierz na miazgę pogniótł gałązkę, całém sercem zadrżał ze zgrozy i szybko się oddalił.

IX.

Bólem, boleścią i smutkiem trapiiony Kazimierz do swojej wiejskiej powrócił zagrody. — Tulipcia z mężem Alfredem w towarzystwie lubej przyjaciółki pocztowymi końmi spieszyła do celu wszystkich życzeń, do Paryża.

Kazimierz w czynném a szlachetném życiu obywatelskiém znalazł ulgę zranionemu sercu; Alfred, na bruku paryskim marnotrawiąc majątek Widłowskich, pobłażał zalotności Tulipci, a w Paryżu nie zabrakło pani Alfredowej na wielbicielach jój powłóczyście mdlejących, nęcących spojrzeń.

Kilku podróżujących rodaków, jeden Hiszpan, dwóch Anglików i trzech Włochów stanowiło mozajkową kolejkę w sercu pani Alfredowej w towarzystwie nieodstępnej panny Chourgotte.

Kazimierz^{***} poznał i pokochał córkę swojego niegdyś towarzysza broni, — i czysta, spokojna miłość połączyła go z bogobojném dziewczęciem, z ośmnastoletnią Heleną, co żadnego nie czytała romansu, co zasad ś. religii i dziejów naszej przeszłości uczyła się mową rodzinną, mową przodków.

swoich, mową dla Kazimierza wdzięczną, w naj-
lejszych odcieniach rozumiała, z duszy i z serca
płynącą. Kiedy Kazimierz i Helena coraz nową
spójnią i strojnością myśli i uczuć ogniwo najszczę-
śliwszego pożycia stwarzali, a swoim rodzicom nie-
wysłowioną nieśli pociechę radość, — Alfred i Tu-
lipcia z wzajemnej obojętności przeszli przy końcu
drugiego roku małżeństwa do obustronnych wy-
rzutów, do jawnej kłótni, wstrętu i nienawiści, ma-
nifestującej się słowami najsprośniejszymi, najzel-
żywszymi. W tak cierpkim do męża stosunku
Tulipcia szukała rady i pomocy u swojej przyja-
ciółki, u panny Chourgotte. Powszechnie to znana
jest rzeczą, że przyjaciółki, a zwłaszcza z gatunku
Chourgotte, przewybornie radzić umieją. Dnia 18
marca 1821 roku pani Alfredowa*** zniknęła z Pa-
ryża. Z kim pojechała, — dokąd pojechała, pan
Alfred*** w głowę zachodził, — posądział Włochów,
Anglików, a nawet swoich rodaków, — ale rzeczy-
wistego śladu powziąć nie mógł.

W końcu zamierzył do kryminalnej pociągnąć
odpowiedzialności pannę Chourgotte, jako domnie-
mywaną sprawczynię jego hańby i nieszczęścia,
gdy nadspodziewanie został aresztowany i odpro-
wadzony do więzienia ś. Pelagii za marne 60,000
franków, pożyczonych w czasie ubiegłego karnawału.

W rok po tém zdarzeniu pan Dourens w War-
szawie odebrał następujący list w języku francu-
skim, który tutaj w wiernym przekładzie umiesz-
czam.

Neapol 23 marca 1822 r.

Szanowny Ziomku!

Przed dwoma miesiącami Alfred*** umarł w Paryżu. Pozostała po nim wdowa, idąc z prawdziwą skłonnością serca swojego, zaręczoną wczoraj została młodemu, bo dopiero 18 lat liczącemu, kawalerowi Don Navez, jednemu z najznakomitszych poetów Hiszpani. Tulipcia jest bardzo szczęśliwą. Ślub odbędzie się w dniu 10 maja pod lazurówem Italii niebios sklepieniem u stóp Wezuwiusza, na co już poetyczny oblubieniec potrzebny indult wyrobił. Nikt tutaj o czém inném nie mówi, tylko o tym wielkiego natchnienia pomyśle.

Ja mam być ubraną w stroju Sarmatek, jako reprezentująca matkę oblubienicy. Na ten wielki obrzęd zaprosiliśmy wszystkie znakomitości stolicy. Z obok załączonego urzędowego pełnomocnictwa, którem Cię nasza pocziwa Tulipcia zaszczycza, taki zrobisz użytek. Ponieważ dobra Chrapy są z ojczystego spadku dziedzictwem Tulipci, więc panią Widłowską przypozwiesz do zdania rachunku pobieranych dochodów od śmierci śp. Anzelma Widłowskiego.

Przez ten obrachunek powinienes posagową sumę pani Widłowskiej zupełnie umorzyć. Po ukończeniu tego procesu dobra Chrapy masz sprzedać bezzwłocznie komukolwiek i za jaką bądź sumę, bo głównym jest warunkiem, abyś pieniądze przysłał najdalej przy końcu czerwca do Frejburga w Szwajcaryi, gdzie my tam 15 czerwca z pewno-

ścią przyjedziemy na słabość Tulipci; a już w początkach września oczekiwać nas będą w Madrycie. Wspaniałomyślna Tulipcia za wypełnienie jej poleceń przeznacza Ci 20,000 franków, którą to sumę upoważnia Cię odebrać z wypłaty szacunkowej dóbr Chrapy. Czekamy Twój odpowiedzi jak najszybszej. Za tak korzystny dla Ciebie interes, proszę Cię, abyś mi przysłał prawdziwy szal turecki i abyś mi doniósł, czy to jest prawdą, że mój brat założył restauracyą w Warszawie i że już do 100,000 franków zarobił. Panu Gapińskiemu przy zdarzonej sposobności odeślij mój bilecik, a panu Kazimierzowi*** powiedz, że go Tulipcia zawsze kocha.

Do widzenia się! do widzenia.

Susette Chourgotte.

X.

Wczoraj z południa już od godziny miłą dla serca mojego prowadziłem rozmowę z jednym z moich przyjaciół, gdy służący oznajmił przybycie jakiejś *ubogiej pani*. Proszę, — odpowiedziałem słującemu. Goszczący u mnie przyjaciel, czy przez delikatność, czy przypadkiem oddalił się do przyległego pokoju, gdy do mojej komnatki wsunęła się chuda, wysoka kobieta z obliczem nadzwyczajnych cierpień, lat, jak mi się zdawało, sześćdziesiąt, w ubiorze niegdyś bardzo strojnym, obecnie bardzo wyszarzanym i bardzo zniszczonym.

— Jakiż interes panią do mnie sprowadza?

— Powiadano mi, że pan potrzebujesz artykułik do nowój gazety pod *tytułem* Dziennik warszawski na fejleton, a ja posiadam bardzo duży artykuł.

— O czym i przez kogo pisany?

— To jest tłumaczenie moje własne jednego z excelujący romansu sławnego Dumas.

— Redakcja Dziennika warszawskiego przyjęła zasadę tłumaczonych romansów nie umieszczać; ale księgarze tutejsi bardzo chętnie drukują przekłady francuzkich romansów.

— Ja byłem u kilku, ale natenczas nie mogą drukować...

— To pani się wstrzymaj, aż będą mogli drukować.

— J'ai besoin d'argent.

— Pani jesteś zapewne Francuzką?

— Ja urodzona Polka, née Widłowska.

Przez uchylone drzwi przyległego pokoju zajrzał mój przyjaciel Kazimierz^{***}, obaczył mówiącą i z przerażeniem zawołał: Ach Boże! to ona, Tulipania!

— Ah mon Dieu! c'est vous Casimire! i ubrudzoną chusteczką zasłoniła pomarszczoną twarzyczkę.

Kazimierz^{***} uchwycił za kapelusz i wybiegł do sieni, prosząc mnie o jedną chwilę rozmowy.

— Ja nie mogę patrzeć na jój nędzę; oto 300 złp., więcćj nie mam przy sobie; spytaj się gdzie

mieszka — nie powiadaj, że odemnie, ale ją zapewnij o dalszej pomocy.

Tulipcia ze łzami wdzięczności przyjęła złp. 300, wymieniła numer domu i ulicę, przy której mieszka, i do szarzej godziny opowiadała mi rozmaite przygody swojego życia.

— Więc po śmierci pana Navez pani trzeci raz poszłaś za męża?

— Tak, za tego Anglika, co był taki brutal.

— I Anglik także umarł?

— Nie, on żyje, ale pojechał do Kalifornia.

— I czemuż pani z nim nie pojechała do Kalifornii?

— Nie chciał mnie *wziąć* ze sobą.

— A panna Chourgotte?

— Ona w Paryżu za męża, bardzo bogati...

— A któż mieszka w Chrapach?

— Ten pan, co się ożenił z córką pana Dourens.

— I pani się będzie procesować z panem Dourens?...

— Ja będę; wczoraj dostałam świadectwo, że ja uboga, proces nie będzie kosztował.

— A matka pani czy żyje jeszcze?

— Żyje, — mieszka w dobroczynność.

— A gdzie pozostały dzieci z pierwszego małżeństwa?...

— Jeden tylko córka jest u moi dawny guwernatki w Paryżu.

— A z drugiego małżeństwa?

— Dwóch syna w Madryt.

— A z trzeciego małżeństwa?

— Jednego syn w London.

— Czy pani wiesz, komuś winna przypisać nieszczęście swojej matki, swoich trzech mężów i czworga dzieci?...


— Ja ne sais pas...

— Pannie Chourgotte!...

— Je ne sais pas.

— Ale lucyfer wie oddawna i we właściwym czasie obliczy zawsze zasługi. Teraz wędruj asani do swojej kwatery, bo się już na ulicy ściemniło.

Asani powędrowała, — jam za świeżej pamięci zeszkicował pokrzywkę, — daj Boże, aby na pożytek starających się o zagraniczne guwernantki.

NADZWYCZAJ RZADKA

W KRAJU NASZYM OSOBLIWOŚĆ.

W miesiącu maju bieżącego r. 1847 odwiedziłem zacnego obywatela w powiecie stanisławskim nad rzeczką Liwcem. Uprzejmość i szczerą gościnność, widok porządku i ładu w gumnach, we wsi i na polu, miłe zbudziły uczucie. Cały ranek spędziliśmy na oglądaniu inwentarzy, zasiewów, nowych budowli i na przyjemnej pogadance. Około południa poczęli się zjeżdżać sąsiedzi i sąsiadki, — było dzień rocznicy urodzin, w prawdziwym zna-

czeniu tych wyrazów, *czcigodnej matki obywatelki*, gospodyni tego domu. Z każdą chwilą zwiększało się nasze towarzystwo i przy drugiem śniadaniu naliczyłem osób trzydzieści.

— Któż jest ta pani w atłasowej sukni?...

— Pani S... wdowa, dziedziczka Jagnięcej Woli.

— A ten jegomość łysy?

— Dzierżawca z Pestkowa.

— A ten wysoki, tłusty pan z nosem czerwonym, który konfitury łyżką stołową uprząta?

— To jest dziedzic *Lisiego Krza*, obywatel bardzo majątny...

— A ta panna mocno usznurowana czyjaż to córeczka?

— To jest córka téj pani, która się w zwierciadle przegląda.

— A ta druga panienka?...

— To jest córka pułkownika K..., który tak starannie przepolszył *Wyzwoloną Jerozolimę* Torkwata Tassa.

— Pogodném i szlachetném jest jój ócz spojrzenie.

— Inném być nie może, bo pogodną i najszlachetniejszą jest jój dusza, a oczy są wierném duszy zwierciadłem. W majątku swoich rodziców otworzyła szkołkę wiejską i w téj szkółce jest od lat kilku pilną i najgorliwszą nauczycielką. Z jój ust nie posłyszysz terminologii filozoficznej, pomimo że jój naukowe ukształcenie wysokiego doszło stopnia; ale to naukowe ukształcenie skierowała

nie do słów uczenie, górno brzmiących, lecz do najszlachetniejszego na ziemi czynu, do umiłowania ludu wiejskiego, do chodowania młodych latomości w chrześcijańskim ogródku, jój wolą stworzonym.

— *To jest nadzwyczaj rzadka, a bez zaprzeczenia najznakomitsza i najszlachetniejsza w kraju naszym osobliwość.*

Wy wszystkie pseudo-postępowe, do urojonój, do niezrozumiałej emancypacji wzdychające pseudo-filozofki, okryjcie się rumieńcem wstydu przed tym przeczystym wzorem chrześcijańskiej dziewicy.

Tém krótkim spomnieniem składając publiczną cześć Ludwice, nauczycielce szkołki wiejskiej, pytam nawiasem (bardzo lubię nawiasy) tego wysokiego, tłustego pana z czerwonym nosem, który stołową łyżką konfitury zajada, po zł. 60 sukno angielskie kupuje, batystem nos uciera, wyłącznie paryskie czyta romanse, przez złote okulary świat ogląda a na niewdzięczność ludu wiejskiego utyskuje, jakżeż po dziś dzień wywiązałeś się, uprzywilejowany panie, z duchowego obowiązku względem ludu wiejskiego? He? gadajże przecież!

— Moi ludzie nie pomarli z głodu i na kark im nie ciecze.

— Dla zwierząt pasza i obora wystarczają; człowiekowi, bliźniemu nie uchylajmy praw najwyższych, praw boskich.

JÓZEF IGNACY KRASZEWSKI W WARSZAWIE.

Zaledwo usłużny Kuryerek doniósł, że Kraszewski jest w Warszawie, a już każdy czytać umiejący wiadomość tę ze współczuciem powtarzał i z ust do ust podawał. Warszawa z dawien dawna jest miastem pocziwém. Spółczucie dla krajowego pisarza czyni zaszczyt społeczności, prawdziwie szlachetny zaszczyt, — bo są i nieszlachetne zaszczyty; np. czytałem ogłoszenie, że jakiś pajazzo miał mieć zaszczyt chodzenia po linie; kupiec przy siódmém rozmyślném bankructwie miał zaszczyt ofiarować swoim wierzycielom po 20 za 100; lichwiarze mają zaszczyt upraszać o lichwę od lichwy, a obrzydliwszych jeszcze zaszczytów coraz to więcej. Lecz mniejsza o to, bywa czas mokradeł na chwasty, są i rosy niebieskie na wzrost i dojrzanie ziarn przeniczných. Koniec końców ku zaczęj stronie wracając, Kraszewski miał zaszczyt być powitany w Warszawie naprzód ogólnem spółczuciem, następnie mnóstwem pojedynczych oznak czci, uwielbienia, przyjaźni i życzliwości, a tylko w ciasnych zaułkach brudniejszego serca zazdrość milczkiem się żółciła, — lecz o takich jaszczurkach i wspominać nie warto.

Kraszewski czy to geniusz?... Nie, — to znamienity talent tylko, a z tym talentem chęć zawsze

prawa, szlachetna i pocziwa; wytrwałość niezmordowana i namiętna, obfitość olbrzymia, łatwość, jak gdyby na kotle parowym warzona, ztąd czasem znów szmermele, a tuż przy szmermelach dzielne kongrewskie rakiety. Kraszewski w przeciągu lat 15 napisał 130 tomów.

Gdybyś literki policzył, byłoby milionów kilkanaście; — gdybyś atrament odwilżył byłoby garncy kilkadziesiąt; gdybyś pióra pozbierał, mógłbyś tysiącem skrzydeł z Warszawy do Ameryki powietrzną odbyć żeglugę; gdybyś papier zgromadził, mógłbyś w którémkolwiek z miast powiatowych wszystkie budowle z wierzchu i wewnątrz wykleić, a gdybyś wszystkie myśli na jeden zegnał rynek, byłby zgiełk, wrzask, hałas, i kłótnie na mil kilkadziesiąt wystarczające.

Prócz Ulany ludowych poswarków nadzwyczaj skapo; — szkoda, bo Ułana jest najpiękniejsza, przedmiot najwięcej żywotny, najwięcej chrześcijański.

Było to z południa o godzinie 4-éj d. 5 grudnia roku od stworzenia świata 5751 ¹⁾, gdym w poobiedniej godzinie, *Witoldowe* czytając *boje*, zdrzymnął się troszeczkę. Już od roku jak po obiedzie drzymać zaczynam. Mój Boże! minęła ta jarka młodość, w której za dnia ani na chwileczkę zasnąć podobném nie było, a cóż dopiero przy czytaniu *Bojów*.

Drzymię, marzę o przeszłości, o czasie obecnym

¹⁾ Jeżeli się w rachunku nie pomylili.

i przyszedł, i już mi się na piękny sen zbierało, gdy w tém z łoskotem wbiega do mojego pokoju siwo-oki Erazmek i z zarumienioną twarzą ku mnie zawołał:

— A wie wujaszek, kto przyjechał?...

— Wiem.

— No któż?...

— Manas Szlama z Opatowa, który ma twój rewers z roku 1843. Był tutaj już dwa razy i życzy sobie widzieć się z tobą koniecznie.

— Jam mu złamanego grosza nie winien.

— On też o złamany grosz nie upomina się wcale, tylko o 1730 złp. z procentem prawnym po sześć od sta.

— A czy nie wziął czterdziestu korcy pszenicy i dwudziestu trzech sążni drzewa?...

— Nie wiem, czy wziął, czy nie wziął, ale widziałem, że jest w posiadaniu rewersu z twoim imieniem i nazwiskiem; — jeszcze w pośrodku umieściłeś „*Habdank*“. Nie wiedziałem, że tak pięknego herbu używasz. Ale bo też pożyczając od żyda 1730 złp., można się *Habdank* podpisać.

— Wujaszek zawsze żartuje. Mniejsza o żyda; wie wujaszek, że Kraszewski przyjechał?

— Był tu u mnie dziś rano.

— Kraszewski?...

— Kraszewski, który się z Urszulką, moją siostrą stryjeczną, ożenił, podobno Bonifacy mu imię.

— Ale to nie ten Kraszewski: Józef Ignacy Kraszewski, sławny literat przyjechał i stanął w hotelu angielskim.

— Czytałem w Kuryerze i jutro odwiedzić go zamierzam.

— Jakto?... a przecież on do wujaszka przyjść powinien.

— Widzisz, Erazju, w Anglii jest zwyczaj, że przyjeżdżający nie błądzi, szukając znajomych po nieznaném sobie mieście, ale znajomi odwiedzają przyjeżdżającego. Zwyczaj ten za słuszny uznaję i użyję go do odwiedzin Kraszewskiego tém więcej, że przez to pragnę złożyć należny hołd jego wielkiej zasłudze w życiu naszego piśmiennictwa, i z całego serca żądam go poznać naocznie, bo listownie znamy się od lat kilku.

Nazajutrz gdym o godzinie 10-téj z rana przyszedł do hotelu angielskiego, nie zastałem pana Józefa, ale zacny rodzic autora, pan Jan Kraszewski, chorąży, raczył mnie prosić uprzejmie, abym się zatrzymał, zapewniając, że syn za chwilę z miasta powróci ¹⁾. I w istocie nie ubiegło 5 mi-

¹⁾ Do nader przyjemnych chwil życia mojego liczę bliższe następnie zapoznanie się z czcigodnym Janem Kraszewskim, chorążym, którego szlachetna słodycz, prawa szczerość i domowa gościnność żywo mi przypominały starodawny obyczaj odleglejszych przodków naszych. Wieczorna zaś gawędka z panem chorążym, — to nektar dla znużonego serca sztywnemi formami wielko-miejskiemi.

nut miłej rozmowy, gdy drzwi się nagle rozwarły i wbiegł Józef Ignacy Kraszewski.

— Otóż i jest mój syn — zawołał pan chorąży.

Serce moje głęboko zadrżało: widok człowieka, który pocziwiej literackiej służy sprawie, a służy z poświęceniem swojego zdrowia i wszystkich sił swoich, widok Józefa Kraszewskiego napełnił mnie rzewnem i słodkiem uczuciem.

— Jestem Au. W., przybyłem, aby się z tobą osobiście poznać.

— Serdecznie ci dziękuję i wdzięczny ci jestem za krok, uprzedzający moje życzenia osobistego poznania się z tobą. I uścisnęliśmy się szczerze jak dwaj dawni dobrzy znajomi.

W tęż chwilę przyszedł drugi, trzeci i czwarty literat. Po miłych przywitaniach nastąpiły pytania, odpowiedzi, — a ja tymczasem patrzyłem się pilnie, jak też ten olbrzym literacki wygląda.

Wam, coście go nie widzieli, opiszę.

Wzrost niski, budowa szczupła, włosy jasne, oczy modre, spojrzenie żywe i wesołe, na czole myśl widoczna, nos wielki, uszy cudownie maleńkie, usta obdarzone przyjemnym uśmiechem, — w ogóle cały wyraz wdzięcznie uprzedzający; — trzyma się nieco pochyło; świadectwo ciągłej pracy piśmiennej, pracy nadzwyczajnej; urodził się w roku 1812, liczy więc obecnie lat 34, — wydaje się młodszym. Ubiór miał bardzo przyzwoity: czarny, skromny, bez najmniejszej oryginalności.

Dnia następnego pan Józef odwiedzić mnie raczył. Cośmy nagwarzyli, trudno powtórzyć, bo by było za wiele pisania; a nie wszystko o literaturze, bo i o rolnictwie, i o handlu, i o przemyśle, i o ludziach w ogólności i w szczególności mówiliśmy, rozprawialiśmy, jako w mowę nieleniwi. A ciekawym jest pan Józef, więc pytanie szło za pytaniem; — jam w odpowiedziach nie rad być dłużnym, — więc nagadaliśmy się obficie. Od tej pory widywaliśmy się codziennie; byliśmy na kilku biesiadach, bo obiady i ucztę, u literatów i w tak nazwanych domach znakomitszych ¹⁾ dla Kraszewskiego wyprawiane, szły nieprzerwaną kolejką z dnia na dzień.

Pan Kraszewski bez zarozumiałości, sercem wdzięcznym przyjmował każde zaproszenie, i ztąd był jak na młynie, chwili spoczynku nie doznał.

Kiedy się tak bieg rzeczy już po trzeci tydzień toczy, 20 grudnia przychodzi do mnie mało mi znany, niejakiś pan Kwasikowski, a po troskliwém dopełnieniu najgrzeczniejszej formy przywitania następującą zanosí prośbę.

¹⁾ Aby zyskać nazwę domu znakomitszego, należy mieć koniecznie:

1. kilku służących w liberyi;
2. pomieszkanie na 1-ém piętrze, obszerne i ozdobne;
3. bieliznę stołową holenderską i porcelanę i srebra;
4. kucharza;
5. wino w piwnicy;

— Łaskawe względy, które pan dobrodziej okazać raczyłeś dla siostry mojej, oświadczając o jej rękę dzisiejszego jej męża, z którym jest bardzo szczęśliwą, ośmielają i mnie upraszać pana najpokorniej ¹⁾, abyś raczył być łaskawym wpłynąć i na los mój przez przyczynienie się do szczęścia mojego na całe życie, — a nie tylko dożgonną i nieograniczoną będę najszanowniejszemu panu winien wdzięczność, ale nadto pan będziesz moim prawdziwym dobroczyńcą.

— O cóż panu idzie, mów-że pan wprost, bez ustępów rozrzewniających.

— Panie! mnie idzie o los mojego życia.

— I do jakiej-że to kategorii ten los zmierzony?...

— Ja, panie, kocham się w jednej tutaj panience.

— A cóż, czy ja jestem panu na przeszkodzie?...

O nie! ale pan dobrodziej mógłbyś ziścić moje wszystkie nadzieje.

6. powóz i konie;

7. ubiór podług dziennika mód paryzkich;

8. bywać na teatrze w łoży pierwszego piętra, a na koncertach siedzieć *koniecznie* w pierwszym rzędzie *krzesel*, *gdyby się i pchać przyszło*.

Ponieważ zaś z ukształcenia umysłowego nikt ludzi dorosłych nie egzaminuje, można przytém być głupiuteńkim.

¹⁾ Wyraz coraz więcej używany.

— Słyszę słowa, rzeczy nie rozumiem.

— Otóż ja panu ten cały interes opowiem. Rok temu poznałem w ogrodzie Ohma bardzo ładną panienkę i zaraz dowiedziałem się, że to jest córka bardzo bogatego obywatela warszawskiego, mająca bardzo dobrą edukacją, i że mówi po francuzku, że gra na fortepianie, że tańczy kaczuszę i — że nawet jest autorką kilku powieści, które w rękopisach posiada; i że jej cioteczny brat bywa u państwa Butlewiczów, u których to państwa bawi się znów przyrodnia siostra pani Butlewiczowej, bardzo piękna panna, o którą ten cioteczny brat mojej panny stara się już od roku.

— Aż mi tchu brakuje, tak jestem ciekawy, gdzie mnie pan tutaj przylepisz!...

— To zaraz, panie, będzie. Otóż ja poznałem się z ciotecznym bratem...

— Przepraszam, że przerywam; dzisiaj pan jesteś w chęci żenienia się z bogatą i edukowaną córką obywatela warszawskiego?...

— Tak jest, panie; staram się o rękę panny Justyny.

— Więc zbierz pan przytomność i krótko a zwięźłowato objaśnij mnie, jak ja ci pomocnym być mam, abys rękę panny Justyny pozyskał?...

— Ja panu wszystko opowiem.

I z niełitościwie długiego opowiadania dowiedziałem się w końcu, że panna Justyna oświadczyła wczoraj panu Kwasikowskiemu, iż jeżeli potrafi ułatwić jej sposobność poznania sławnego autora,

Kraszewskiego, w takim tylko razie zezwoli, aby o jej rękę rodziców poprosił. A więc pan Kwasikowski słysząc, że ja bardzo dobrego serca, że się znam z panem sławnym autorem Kraszewskim, — przyszedł prosić i błagać o radę, o pomoc, o wpływ na jego los i t. d.

Gdym pojął o co rzecz idzie, z ufnością w uczuciowość autora *Pod włoskiem niebem*, zapewniłem pana Kwasikowskiego, że jutro wieczorem z panem Kraszewskim wprost do rodziców panny Justyny przyjadę. Kwasikowski w uniesieniu rzucił mi się na szyję i tak mnie łzami wdzięczności umazał, że aż było potrzeba ręcznikiem wdzięczność jego przed zwierciadłem obetrzyć.

— Niech pan dobrodziej będzie pewnym, że ja, póki będę żył...

— Ale mój panie Kwasikowski, jeden kładę warunek, abyś o żadnej wdzięczności nie gadał.

— Jakto! — ja panu nie mam być wdzięcznym?... bo pan dobrodziej nie wie, *jak panna Justyna jest literatką i jak ona mi będzie wdzięczną*, gdy pan Kraszewski ten wielki uczyński dla nich zaszczyt...

— Mniejsza o zaszczyty; powiedz mi raczej, panie Kwasikowski, ażali też rodzice panny Justyny bytność pana Kraszewskiego mile przyjąć zechcą?...

— Co pan dobrodziej mówisz?... a toć-że tu w Warszawie nie ma takiego człowieka, któryby pana Kraszewskiego otwartemi nie przyjął rękoma.

— Więc zgoda; zapewnij pannę Justynę, że się jutro stawimy z panem Kraszewskim. Ale, ale — gdzie mieszkają rodzice panny Justyny?

— Przy ulicy Solnej Nr.** — Ach! jak oni będą szczęśliwi! A ja panu dobrodziejowi zawdzięczać będę los całego życia mojego... bo ja zaraz poproszę wuja mojego, pana naczelnika niema by nazajutrz oświadczył.

— Bardzo się cieszę, że chociaż pośrednio panu Kwasikowskiemu pomocnym być mogę.

Z tysiącem wyrazów wdzięczności na ustach, a bezwątpienia i w sercu wybiegł pan Kwasiński do panny Justyny, aby donieść o szczęściu swoim.

Nazajutrz o godzinie jedenastej z rana udałem się do angielskiego hotelu, aby Kraszewskiego uwiadomić, żem jego osobą na jedną godzinę rozrządził.

Przychodzę do angielskiego hotelu; służący Jaś oświadcza, że jego pan ubrał się w czarny frak i w białą kamizelkę i przed godziną wyjechał na miasto.

— A nie wiesz, do kogo?...

— Podobno do tego pana, co to mojego pana maluje.

— Już wiem.

Idę na ulicę Miodową.

— Jest pan w domu?...

— Jest.

— Zapytaj, czy wolno pana odwiedzić.

— Proszę — proszę — zawołał z drugiego pokoju przezacny artysta pan Z...

Wchodzę do pracowni, patrzę jest Kraszewski na płótnie, ale żywego nie widzę.

— Był tu dzisiaj Kraszewski?...

— Był ale tylko 5 minut, nie mogłem go nawet *podmalować*...

— I gdzież pojechał?...

— Zdaje mi się, że do księcia J...

— Przepraszam cię, panie Antoni, że wpadłem jak po ogień, ale muszę ścigać pana Józefa.

Jadę do księcia J... i dowiaduje się, że pan Kraszewski był, ale pojechał z księciem do księcia stryja.

Jadę do księcia stryja; — książę stryj zapewnia mnie, że m się musiał z Kraszewskim i z księciem synowcem chyba na schodach ominąć, — i że obydwaj pojechali do księżnej R**.

Jadę do księżnej R***; powiadają mi, że co dopiero było dwóch panów, ale odjechali natychmiast, bo nie zastali księżnej pani.

Patrzę na zegarek — godzina 2; trochę mnie chłód po plecach przebieżył na spomnienie, że o godzinie 6-ój los Kwasikowskiego na Solnej ulicy rozstrzygniętym być ma. Zadumany jadę do hotelu angielskiego; aliści na skrócie ulicy Czystej idzie w futrze szubce pocziwy Wójcicki, brat-literat. «Stój! stój!» krzyknąłem na powożącego mnie dorożkarza.

— Kaziu dobrodzieju, dzień dobry!...

— Dzień dobry, chirurgu!

— Nie wiesz przypadkiem, gdziebym mógł Kraszewskiego pochwycić?...

— Mówił mi, że godzinie 2 ej obiecał się do naszego S**, bo zaczął go wczoraj malować.

— Dziękuję. Ruszaj.

I pojechałem i przyjechałem na Nowolipki. Czi najgodniejszy artysta Smokowski siedział jeszcze przed trójnogiem z mokrém pędzlem w ręku.

— Byłże tutaj Kraszewski?...

— W tę chwilę porwał mi go szambelan, tylko dziesięć minut przysiedział. A co, podobien?...

— Jak dwie krople wody. Nie wiesz, gdzie go uwiózł szambelan?...

— Zdaje mi się, że do pana referendarza stanu M***...

— Do widzenia, kochany panie Wincenty!

I wybiegłem jak postrzelony i wsiadłem do doróżki i pędzę na Nowy Świat. Referendarz zapewnia mnie, że dzisiaj Kraszewskiego nie widział, ale słyszał, że ma być na obiedzie u hrabiny P.

Hrabina P... przyjmuje, prosi siedzieć łaskawie; Kwasikowski kręci się przed oczyma méj wyobraźni, pytam o Kraszewskiego. Był przed chwilą, będzie na obiedzie, ale dopiero pojutrze. Przepraszam, kłaniam się najgrzeczniej, odjeżdżam — dokąd?... nie wiem; aliści w porę zjawia się nieoczekiwany szambelan G...

— Zbawco prezacny! gdzie jest Kraszewski?..

— Byłem z nim u pana Tomasza Zielińskiego, oglądaliśmy jego galeryą obrazów, pod względem doboru książęca! Oryginałów pierwszych w świecie mistrzów, jak mnie Kraszewski zapewnił, jest 19-cie.

— Znam, wiem, zgadzam się; ale gdzież, panie, zostawiłeś Kraszewskiego?...

— Zawiozłem go do mecenasa M...; ztamtąd miał być w redakcyi Przeglądu naukowego; o szóstej łącznie z panem K... Zaproszeni są na obiad do...; o 9-tój zajrzą na posiedzenie Biblioteki warszawskiej; o 10-tój będą u wojewodziny, o trzy kwadranse na jedenastą zejdziemy się w salonie pani B...¹⁾.

Śród kłopotu jaki mnie dręczył, byłem zniewolony podziwiać obszar wiadomości dziennych zacnego szambelana, ale zarazem wszelką straciłem nadzieję, abym dzisiaj potrafił pana Kraszewskiego na Solną zawieźć ulicę.

Powróciłem z kwitkiem do domu i zdobywając się na rezygnacyą, właśnie rozpoczynam pisać list do pana Kwasikowskiego, gdy wchodzi niska: pękata faciatka z maleńkim noskiem, jespian Rolewicz, kancelista, i oddaje mi 70 arkuszy przepisanego raptularza moich Litewskich Ramotek.

¹⁾ Rzecz dla mnie nie zrozumiała: pan B. żyje, cieszy się dobrem zdrowiem, na przyzwoite utrzymanie domu pracuje, w kraju pocziwie się założył, dlaczegoż dom jego kobietą nosi firmę?...

— Spodziewam się, że pan dobrodziej będziesz tą razą *kontent* z pracy mojej; starałem się ani jednego błędu nie zrobić, żydka też nie masz żadnego. Tylko oto ten jeden wyraz nie wiem, czym dobrze wyczytał?...

— Który?...

— *A znana hrabiego drobnoczynność...*

— Nie drobnoczynność ale dobroczynność.

Pan Rolewicz wyjął z kieszonki scyzoryk i po myłkę przeskrobywać począł. W tej chwili Mephistopheles usiadł na mojej peruce i szepnął mi do ucha: «Załaduj do doróżki pana Rolewicza i zawieź go do rodziców panny Justyny».

Aż mi się zimno zrobiło na tę myśl straszliwą; ale zanim Rolewicz skrobania dokończył, powróciła gorącość mojego kłopotu względem losu pana Kwaskowskiego. Mephistophel szepnął raz drugi; „*Idzie o los zakochanego młodzieńca*“ i—bies zwyciężył.

— Panie Rolewiczu! oto masz 35 złp. za dokonaną pracę wzorowego przepisywania. Dam ci świeżej roboty trzy razy tyle. Wystaram się, abys w komisji przeszedł na etat, a może potrafię ci wyrobić urząd dziennikarza, ale za to wszystko zrób mi jedyną jedną usługę.

— Jam zawsze szczęśliwy, kiedy mogę rozkazy pańskie wypełniać.

— Pojedziesz ze mną na ulicę Solną pod nr... (ten a ten) do państwa... (tych a tych): tam cię przedstawię za Józefa Ignacego dwóch imion Kraszewskiego, autora 130 tomów różnorodnych prac

literackich; ty zaś ze skromnością, ze spuszczone-
mi na dół oczami, będziesz przyjmował wszystkie
pochwały; najmniej mówić, ogólnikami odpowiadać
będziesz i na moje skinienie oświadczysz, żeś za-
proszony, a więc zmuszony jesteś miłe towarzystwo
opuścić itd. itd. grzecznie się uklonisz i za $\frac{1}{2}$ go-
dziny powrócimy tutaj.

— Pan Dobrodziej zawsze łaskawie żartujesz.

— Bynajmniej nie żartuję. Proszę cię o to naj-
szczerzej i oto masz moją rękę, że wszelkich usi-
łowań dołożę, ażebyś posadę dziennikarza otrzymał.

— To moje przyrzeczenie silny wywarło wpływ
na kancelistę, zarumienił się, westchnął i po krótkim
namyśle zapytał:

— Więc ja mam powiedzieć, że jestem panem
Kraszewskim?...

Kwadrans cały trwało objaśnienie celu i nauka,
jak się ma znajdować, co mówić i jak odpowiadać
winien. O godzinie 7-jej przystrojenie pana Role-
wicza było ukończone a więc niebawem siedliśmy
do dorożki.

— Ruszaj na ulicę Słona.

— Nie wiem, panie, gdzie Słona?...

— To kwaśwa czy solna.

— A Solna to wiem.

I ruszył żwawo warszawski dorożkarz. O 7-jej
stanęliśmy przed oświetlonym domem przy Sol-
nej ulicy.

Dym trociczek w sieni i aż dwie świece w la-
tarni upewniały, żeśmy we właściwe przyjechali

miejsce. Na wschodach pan Kwasikowski trzy razy pocałował mnie w ramię; w progu pokojów pierwszego piętra mężczyzna chudy, wysoki, około 56 lat liczący (ojciec panny Justyny) przyjął nas z zapewnieniem, że za wielkie poczytuje szczęście i t. d. i t. d. W pierwszym pokoju leżało na stole i na krzesłach kilkanaście salop i płaszców.

— Panie! a jak mnie tutaj kto pozna?... szepnął mi Rolewicz.

— Wykrzyw gębę, oczy spuść na dół! — ci chuteńko odrzekłem.

Scena w drugim pokoju.

Ojciec panny Justyny do pana Rolewicza.

— Mam honor prezentować moją żonę; a to moja córka Justyna; — to mój szwagier B..., to mój zięć R..., moja bratowa L..., pani G..., pani Z..., pani B..., pani H..., pan O..., pan sekretarz C..., pan inspektor F..., pan rewizor D..., pani sędzina W..., pani G..., pan sędzia W..., pan H... panna K..., a to jest siostrzenica mojej żony, a to są dzieci po nieboszce siostrze mojej, Ignas, Staś, Felcia i Stefcia. Dzieci wysunęły się naprzód i wszystkie kolejną lat swoich ucałowały ręce pana Rolewicza. Pan Rolewicz pogłaskał każde z całujących go dzieci i spuściwszy oczy na dół usiadł na podaném sobie krześle poręczowém. Po chwili ogólnego milczenia panna Justyna, która najbliższe przy panu mniemanym Kraszewskim zajęła miejsce i do prowadzenia rozmowy była przysposobioną,

zapytała pana Rolewicza. Pan już od kilku tygodni zaszczycasz nas swoją obecnością w Warszawie.

Rolewicz. O tak, już kilka tygodni.

Panna Just. I czyliż Warszawa jest tyle szczęśliwą, że się panu pośród nas nie dłuży?...

Rolewicz. Bynajmniej.

Panna Just. Pan już dawno znasz Warszawę?...

Rolewicz. Bardzo dawno. Ja tutaj się urodziłem.

Panna Just. O wiem to z życiorysu pańskiego w Naukowym Przeglądzie. Jakżeż pan znajdujesz Przegląd Naukowy?

Rolewicz. O tyle o ile.

Panna Just. Zgadzam się z panem, bo ile swoją wybitnością wywyższa się a filozofią zbliża się do stanowiska uogólnioniej wiedzy, o tyle znów chwilowem zaniedbaniem się lub krytyką namiętniej indywidualności na stronę ujemną przeważa się. Ale przepraszam, że przy panu ośmielał się mój sąd objawiać, kiedy tutaj sąd pański winienby zdanie moje do prawdziwego ocenienia skierować.

Rolewicz. Nic więcej jak słusznie, ale jest to względnie.

Ja. Pan Kraszewski, wysoko ceniąc skromność pani, wyrazem *względnie* składa pani oznaczenie strony dodatniej.

Rolewicz. To jest w urozmaiceniu uczucia naszego.

Oczy panny Justyny jaskrawém zabłysły światłem.

Pani G. (półgłosem). Ach! jakie to piękne wyrażenie!

Panna Just. Stwórca wszech rzeczy geniusze tylko obdarza tą boską słów potęgą, która w każdym brzmieniu wielką myśl ukrywa.

Rolewicz. Są chwile w życiu człowieka!...

Panna Justyna, posyłając oczy swoje w sam środek sufitu, głęboko westchnęła i afektowanym głosem tęsknoty wyrzekła: „*To są momento wielkości wieszczów!*“

Po tych wyrazach panny Justyny wszystko ucichło; Rolewicz w dół oczy spuścił i było cicho jak w grobie.

Rewizor. Pan dobrodziej zapewne bardzo wiele podróżował?...

Rolewicz. Nadzwyczaj wiele; ja ciągle podróżuję.

Pani B. I pan w tych podróżach książki drukujesz?...

Rolewicz. Po większej części.

Panna Just. Czy pan Kraszewski pisze w dzień czy w wieczór?

Rolewicz. Ja... ja pisuję nad ranem...

W całym towarzystwie szeptali: «nad ranem pisuje» — «nad ranem pisuje» i z kolei szepnęła mi pan sekretarz «nad ranem pisuje!»

Panna Just. Pisząc *Pod włoskiem niebem*, w którą pan był okolicę?...

Rolewicz. O ja we wszystkich byłem okolicach.

Ja. Ale najwięcej pisałeś, panie, we Florencyi i w Rzymie.

Rolewicz. Tak, tak, w Rzymie najwięcej.

Pani D... Czy pan Kraszewski widział Papieża?

Rolewicz. Widywaliśmy się codziennie.

Pani D... Czy z nieboszczykiem czy z teraźniejszym?

Rolewicz. Pani Dobrodziejko, bo nieboszczyk podczas mojej bytności wyjechał był do morskich kąpiel.

Pani G. Jak też teraźniejszy Papież wygląda?

Rolewicz. Różni różnie sądzą.

Pan Sędzia. (do mnie po cichu). Wiesz też pan dobrodziej, że jest tutaj w Warszawie jeden kancelista, który podobien do Kraszewskiego — nadzwyczajnie.

Śmiertelny pot na moje czoło wystąpił.

Pan Sędzia. Tylko że tamten jest lepszej tuszy i słusniejszego wzrostu, i niema tego wyrazu, tych rysów, które w twarzy pana Kraszewskiego znamionują jego talent cudowny.

Ja (do sędziego). Zapewne, niewątpliwie! (do Rolewicza). Ale mówiłeś mi, panie Kraszewski, że teraźniejszy Papież przypomina Napoleona.

Rolewicz. Bardzo, bardzo przypomina.

Pani D. Czy pan po włosku z nim rozmawiałeś?

Rolewicz. Po łacinie, po włosku... ale najwięcej po francuzku.

Panna Justyna, którą niecierpliwiło, że ją od literackiej rozmowy z panem Kraszewskim usuniono, skorzystała z chwili, zapytując...

— Cóż pan sądzisz o *George Sand*, tym kolosie w literaturze francuzkiej?...

Zanim zdążyłem przyjść w pomoc, już Rolewicz przypomniał sobie ze szkół o 7 cudach świata i wybąkał.

— Tak... to kolos rodyjski!

Panna Just. O! c'est vrai! cudowne porównanie!... Ależ dopiero jój dzieła po szczególe!?

Rolewicz. Bardzo to względnie; lecz zgadzam się z panią co do ducha wrażeń.

Panna Just. Rozumiem pana!... bo jój dążność nie zawsze jednego, nie zawsze tego samego sięga celu; — nie jest ona jednolitą, dziś np. *Le meunier d'Angibault*, dawniej już *Le compagnon du tour de France*, *Simon*...

Rolewicz. Tak... i t. d. i t. d.

Panna Just. Pan mówisz i t. d., o jak dowcipnie ale zarazem złośliwie... Ale np. Lelia, u nas jój jeszcze nie pojmują, nie przejęli się wielkością téj idei usamowolnienia nas... wyzwolenia... O bo Lelia!... (zawołała z zapalem, głośniej, rumieniąc się). Cóż pan sądzisz o mojej ulubionej Lelii?...

Rolewicz. Wiele możnaby powiedzieć...

Panna Just. Może pan podzielasz zdanie Jules Janin'a, który wyrzekł, że była kobietą bez serca, że...

Rolewicz. Zapewne, bo zwyciężyć takim podstępem Samsona, który Filistynów ośłą szczęką zwyciężył...

(Zapomniałem Czytelników téj Ramotki uwiadomić, że w początku rozmowy obnoszono bardzo stare wino węgierskie, którego Rolewicz wypił już

4 kieliszki, a zatém rozmarzyło mu się w głowie i przypomniał sobie ze Starego Testamentu o Delili, żonie Samsona, i blisko brzmiące imię Lelia wziął za Delia; — o Lelii nigdy nic nie słyszał.

— O dowcip nad dowcipy! — wrzasnęła panna Justyna, klaszcząc w dłonie — *mais c'est diziñ! quel esprit! o mon Dieu! quel esprit!* Pan przeciwników naszój emancypacyi obrazujesz w Samsonie, a ośła szczęka to ów dawny, niecny przesąd, owo poniżające ród męzki twierdzenie, odmawiające duchowości kobietom; o ben trovato! boskie porównanie! genialne, powtarzam: genialne! — nikt jeszcze w kilku wyrazach tak dobitnie ważności George Sand'a nie skreślił. Lecz jakżeż się panu Indiana podobała?... ten utwór niezrównany!...

Rolewicz. O niezaprzeczenie.

Panna Just. Pan jesteś dla mnie wyrocznią; powiedz pan bez grzeczności, szczerze, cóż pan powiesz o *Indianie*?

Rolewicz. O!... Indianie... żyją pod bardzo gorącą strefą.

Panna Just. Bravissimo! pan wybornie excelujesz w dowcipie... Biedaczka! urodziła się Kreolką na Isle de Bourbon; jeżeli dobrze pomnę...

Rolewicz. Ile Burbonów?... wymówił niewyraźnie i zamilkł, bom groźnię na niego spojrział. Szczęściem, że w uniesieniu będąca panna Justyna prześluszała jego «ile Burbonów?» i dalej pawiła.

— Nie prawdaż, że George Sand jest jasną gwiazdą na naszym horyzoncie niewieścim, a ja

z zapałem, z dumą stoję przed ołtarzem takiego *sabeizmu*¹⁾ (panna Justyna popisywała się ze wszystką swoją erudycją); pan jako geniusz nie możesz tylko być gorliwym sabejczykiem.

Rolewicz (sądząc, że sabejczyk od sabatu pochodzi, stanowczo, bez ogródki powiedział).

— Pani! nie! ja nie jestem sabejczykiem.

Panna Just. (z grzecznością). Bo słońce przed gwiazdą nie zwykło czoła unieść.

Ja. Ale dajcież już państwo spokój francuzkiej literaturze! — zawołałem z obawy, ażeby panna Justyna nie wspomniała z kolei Dumas'a i Sue'go; bo *Rolewicz* czytał *Zyda tułacza*, pochłoniął wszystkie *Tajemnice*, i byłby się zapewne popisywał z najoryginalniejszym sądem szczegółowym, czego się nie bez zasady lękałem.

Panna Just. C'est vrai. Do *Rolewicza*. Jakżeż pan znajdujesz *Spekulanta*?...

Rolewicz. Którego *spekulanta*?...

Panna Just. Wybornie! bo wszakże dzisiaj bardzo wielu mamy spekulantów a zwłaszcza takich, jak ów *Molicki* pana *Korzeniowskiego*...

Rolewicz. O! dzisiaj cały świat stoi na *spekulacyi*.

Panna Just. Każde serce szlachetne oburza się przeciw spekulacyi i przeciw spekulantom — i znacząco spogląda na młodego pana D***.

Ja do panny Justyny (w poszepcie). Pan *Kra-*

¹⁾ Religijna sekta czcicieli słońca i planet niebieskich.

szewski jest osobistym przyjacielem pana Korzeniowskiego, a obawiając się zarzutu stronności nigdy nie chwali utworów swoich przyjaciół.

Panna Just. O jakże to delikatne uczucie!

Do pana Rolewicza. Jakżeż pan znajdujesz *Li-stopad*?

Rolewicz. Zimny, błotny i mroźny.

Panna Just. (w białe uderzając dłonie). Czyż można trzema wyrazami właściwiej osądzić! — A Jordan?...

Rolewicz. Jordan!?!... mniemać-by należało, że w Jordanie to był chrzest...

Panna Just. O! prawda! chrzest najszlachetniejszych i najczystszych pojęć na drogę Parnasu! Ale dla czegoż przybrał nazwę sowy, kiedy on jest orłem naszemu uczuciu!... Wierz mi pan, że ja w Jordanie znalazła odrodzenie mojej godności niewieściej...

Rolewicz do mnie (po cichu). Czy ona żydówka?

Ja do Rolewicza (jak najciszej). Wstawaj, bałwanie, i ruszaj do domu.

Rolewicz do panny Justyny. O niezawodnie jest to absolutną prawdą, że nasza chrześcijańska religia jest odrodzeniem...

Panna Just. Z rozkoszą słyszę z ust pana «nasza chrześcijańska religia,» bo z pism twoich posądziłam cię, panie, o fanatyzm...

Ja. Panie Ro... Kraszewski dobrodzieju godzi na 8!...

Matka panny Justyny. Ale pan dobrodziej przerywasz nam najmiłsze chwile; może jeszcze panu Kraszewskiemu nie pilno; będzie zaraz kolacya, a dla mojej Justysi to prawdziwy jubileusz, że może z mądrymi ludźmi rozmawiać, bo u nas bardzo rzadko, że się mądry człowiek trafi. — Ci tu panowie bywają łaskawie jak dawni przyjaciele, czasem za interesem; ale tak mądrych ludzi, jak panowie, to w naszym domu tylko trafunkiem.

Panna Just. Ale co też mama mówi?... (do dzieci) *Vaites votre devoir!*

Dzieci poskoczyły do drugiego pokoju i niebawem wróciły z girlandą kwiatów i oną girlandę włożyły na głowę pana Rolewicza.

Matka panny Justyny. To miało być dopiero przy kolacyi...

Panna Justyna. Cześć tobie, geniuszu!... i (zdejmując błękitną przepaskę, zawiesiła ją na szyi kancelisty).

Ojciec panny Justyny (z kieliszkiem w ręku). Wiwat!...

Ja do Rolewicza (po cichu). Udawaj rozczulenie.

Rolewicz. Istotnie, że mnie państwo rozczulają... jam nie zasłużył na tyle dowodów niezasłużonej łaski...

Panna Just. Cześć tobie, geniuszu!...

Ja do Rolewicza (po cichu). Powiedz wzajemną, górno-lotną grzeczność...

Rolewicz. I tobie cześć, genialna muzu!...

Ja. Cześć wam obojgu!... Tymczasem, panie Kraszewski, czas do domu, — czekają na ciebie... nie girlandy ale serca pocziwych literatów, — a przyrzekliśmy być o godzinie 8 z powrotem.

Pan rewizor (z kieliszkiem w ręku). «Wiwat»

Pan D. «Wiwat!» — i owo «wiwat!» szło z kolei — a Kwasikowski płakał jak bóbr, widząc, że genialna muza od płaczu się zanosi.

W końcu oryginalnie *naiurna* Felcia wybiega z angielską wyżliczką na ręku i woła za nami na wschodach, — «A i ja proszę, aby pan Kraszewski na moją pamiątkę napisał powieść o mojej *Mimi*».

— Dobrze, koteczko, ja o tobie napiszę w Ramotkach, bo pana Kraszewskiego znamienity talent wyższe ma obowiązki nad bawienie się z Mimi i z Felcią, — odrzekłem, siadając do doróżki.

O godzinie wpół do dziewiątej już się z Rolewiczem w mojem znajdowałem pomieszkaniu.

Rolewicz. Szkoda że się łaskawy pan dobrodziej pospieszył; — uważałem, że w drugim pokoju talerzami brząkali; pocziwe ludziska, zapewnoby wystąpili z sutą wieczerzą.

Mój ty miły Rolewiczu, chętnie ci każę najlepszą podać w domu moim wieczerzę, ale dłużej nie mogłem tam pozostać boś mi zaczął krewić szkaradnie.

Proszę pana dobrodzieja — jam wszystko powiedział jak pan dobrodziej rozkazał; „o tyle o ile“ i „mniemaćby należało powtórzyłem najmniej dziesięć razy; a i „różni różnie sądzą“ i jestto bezwzględ-

*dna prawda“ i „zgadzam się z panią co do ducha
wrażeń“ i „o rękojmi uczuć“ nie zapomniałem,
i wszystkom szczęśliwie spamiętał, jak i kiedy wy-
razić.*

— Niekoniecznie; i nie jednego wypaliłeś bą-
ka a zupełnie niepotrzebnej gadaniny było za
wiele. Lecz trudno przeszłość zmienić; — zawszem
ci obowiązany za twoją powolność.

O godzinie 9 odprawiwszy o tyle o ile nakar-
mionego Rolewicza, zasiadłem do stolika, aby za
świeżej pamięci chociaż cząstkę erudycyi panny
Justyny do Ramotek zapisać; — i długo w noc
czyniłem sobie uwagi nad niedorzecznością panny
Justyny, która tak jawny a dla młodej dziewczyny
nieprzyzwoity okazywała wpływ nad rodzicami,
która tak absolutnie ciskała zdania przed oczy
ludzi dojrzałych, która, zdaje się dobijać o to, aby
dom jój rodziców nazywano salonem panny Justyny.

Jak to szybko świat się przemienia! Przed dwu-
dziestu laty nie słyszałem w kraju naszym, aby
dziewiętnasto letnia dziewczyna, księżniczka czy
córką rzemieślnika, odważyła się téj mowy i my-
śli w domu rodziców prowadzić... Cóż ona dopiero
pocznie, gdy będzie mężatką!?... Aj! Aj! — Pa-
nie Kwasikowski, biednyś ty papadadzio! — albo
tóż rozwód w 4 tygodnie po ślubie...

Nazajutrz po wypadkach w salonie panny Ju-
styny pospieszyłem do Kraszewskiego i w chwili,
gdym mu zaczynał opowiadać, com wczoraj wy-

płatał, spostrzegłem przez okno, że się toczy ojciec panny Justyny.

Zdrętwiałem z przestachu — i tylkom zdołał zawołać: uciekaj do drugiego pokoju, bo zginę». Nie domyślił się pan Kraszewski, o co rzecz idzie; ojciec panny Justyny ukazał się w progu.

— Kraszewskiego nie zastałeś, panie, w domu, — z wysileniem drżącego głosu zawołałem, najkomiczniejszym miotany uczuciem.

— Bardzo żałuję.

— Wyjechał za sprawunkami, a skoro z miasta powróci, bezzwłocznie Warszawę opuszcza, będzie bardzo żałował.

— Ach to ja, panie żałuję i proszę pana dobrodzieja, abyś łaskaw był oświadczyć, że za najmiłszą poczytałem powinność i obowiązek osobiście podziękować za zaszczyt, jaki pan Kraszewski domowi naszemu wyświadczył. A tu jest poezyjka naszej Justysi, którą pod wczorajszym wrażeniem ośmieliła się dla pana Kraszewskiego napisać...

— Dobrze, dobrze, oświadczę, doręczę panu Kraszewskiemu, będzie bardzo żałował.

Zapewne ojciec panny Justyny na Senatorskiej już był ulicy, a jam dopiero z przestachu ochłonał i potrafił opowiedzieć szczegóły grzechu mego.

— A bodaj cię też, chirurgu, — zawołał poczciwy pan Józef i uśmieł się serdecznie. — Ale co tam sobie o mnie rozsądniejsi ludzie myśleli, gdy ten twój kancelista w moim imieniu takie plótl opałki.

— Właśnie że przed uwielbianiem, przed szczęściwaniem ich uczuciem oglądania Kraszewskiego nie mieli czasu do myślenia.

— Gadaj zdrów; ale niepodobna, aby niedorzeczności jego odpowiedzi ocenić nie byli umieli.

— Panie Józefie!... na karb wielkich talentów, na karb geniuszów można swobodnie największe pleść brednie, zwykli zwykle uważać je za myśli olbrzymie.

— Ależ dziwna to jest ta cała scena z temi girlandami, wstążkami, — roznieście się po mieście...

— W téj mierze na ciebie winy nie spada. *Innego uczczenia godnym jesteś*, lecz czas, okoliczności, miejsce, panna Justyna, dzieci, dobroć serca, — zmieszaj to i treść wyciągnij. W ogóle, mówiąc nawiasem, i to jest bardzo wiele, że się na takie drobiazgi zdobyli, bo któryż to autor nasz doznał publicznej czci za życia, któremuż wystawiono pomnik po śmierci?... Prześladowań, lekceważenia nie szczędzą, o zasługach autora chociażby najznakomitszych, mówią przez kilka miesięcy i co rychlej zapomną, goniąc za pierwszą lepszą nowością, chociażby i za nędznym przekładem lichego ale osławionego romansu francuzkiego. Połóż w salonie dzieła Woronicza i nowy romansik np. Bernarda, przyjdź za miesiąc, Woronicz z nierozzerzniętymi kartkami spoczywa na uboczu, z Bernarda karty powydzierane. Uczucie, że się wywiązujesz z obowiązku, — to twoja nagroda, o inną nie pytaj; — chyba o girlandy dziecinne, o wstążki

muz emancypowanych i t. d. Ale, ale i na obiad zaproszą cię jeszcze, aby się przed znajomymi i przed miastem popisać.

— Wszystko to święta prawda, ale ja jednakże nie mogę się uspokoić, żeś mnie w tak cudackim świetle u rodziców panny Justyny wystawił.

Po długich w tym względzie rozprawach i naradach stanęło na tém, że mnie pan Kraszewski przekonał, iż powinnością moją jest wyznać prawdę i przeprosić. Jam nawzajem przekonał pana Kraszewskiego, że tylko jego obecność może zmniejszyć ciężar sprawiedliwych zarzutów. A więc o 4-éj z południa ruszyliśmy wspólnie na ulicę Solną.

Otwarte wyznanie méj winy, objaśnienie, że jedynie silne spółczucie dla pana Kwasikowskiego spowodowało mnie do usłuchania poszeptów biesa, szczerze prośby moje, obecnością *prawdziwego* Kraszewskiego poparte, zyskały rychłe i wesołe przebaczenie.

Panna Justyna była skromniejszą w zapytaniach i sądach swoich i nie chwaliła ani Lelii ani Indii. Na najszcześliwszy zaś domiar dobrego zjawił się pan Kwasikowski z naczelnikiem wujaszkiem.

Komiczny dramat zakończył się prośbą sławnego literata, aby mógł być świadkiem szczęścia młodzieńca, uwielbiającego wdzięki panny Justyny.

— Matko! przecież prośbie pana *prawdziwego* Kraszewskiego, — zwołał zacny obywatel warszawski, — odmówić w domu naszym nie wypada?... Justysiu! jakież twoje zdanie w téj mierze?

Panna Justyna, zapominając o Lelii i Indianie, zarumieniła się niewinnie, serce zapukało głęboko, z różanych usteczek wielbicielki Kraszewskiego ciche spłynęły wyrazy: «We wszystkiem zgadzam się z wolą najdroższych rodziców». Kwasikowski rozbeczał się z radości.

Czy pan Kraszewski w końcu miesiąca lutego, jak przyrzekł, przyjedzie na ślub, czy autor 130 tomów nową z tego zdarzenia powieść napisze, — zapewnić nie mogę. Tymczasem macie małeńki szkic powszechnego współczucia Warszawian dla Józefa Kraszewskiego i macie jedną jeszcze z moich Ramotek, w których są $\frac{3}{4}$ części prawdy, a $\frac{1}{4}$ część lotniejszej wyobraźni, to jest o tyle o ile potrzebnych zaokrągleń do przyzwoitej całości.

Pisałem dnia 3 stycznia w Warszawie nad rzeką Wisłą. Roku po nar. Chr. 1847.

Au. Wi. ch. fil.

KONIEC TOMU PIĄTEGO.

Biblioteka UJK Kielce

UJK

0472961